NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. **Kraków, 14 października 1916.** **Nr. 42.**

Rocznica drugiej brygady Legionów polskich.



Obchód drugiej rocznicy wymarszu w pole drugiego i trzeciego pułku. 1) Jenerał Puchalski, w towarzystwie oficerów, podczas śniadania. 2) Brygadyer Haller rozdziela odznaki honorowe. 3) Oficerowie drugiej brygady wraz z gośćmi, przybyłymi na obchód. 4) Przyjęcie gości i delegacyi. (Fot. dr. Korolewicz.)

Rocznica drugiej brygady Legionów polskich.

W dniu 30 września b. r. minęło dwa lata od owej pamiętnej chwili, gdy z Krakowa wyruszały świeżo sformowane oddziały drugiego i trzeciego pułku Legionów polskich. Był to żołnierz młody, jeszcze nie wyćwiczony, który dopiero na Węgrzech miał się wdrożyć do rzemiosła wojennego. Sytuacya wojenna jednak sprawiła, że zamiast na ćwiczenia — posłano drugi i trzeci pułk Legionów w ogień walki... Jak się ci polscy rekruci — bo nimi byli, gdy przed dwoma laty wyruszali z Krakowa — wywiązali ze



Twórca Legionów na urlopie: Poranna konferencya Piłsudskiego z adjutantem podpor. Długoszowskim w zakładzie dra Chramca w Zakopanem

swego trudnego zadania obrony Węgier, wiemy dobrze. Kampania karpacka, to jedna z chlubniejszych kart nie tylko drugiej brygady Legionów, ale wogóle w dziejach oręża polskiego.

Drugą rocznicę wyruszenia w pole drugiej brygady, która okryła się taką sławą w Karpatach, obchodzono też na froncie bardzo uroczyście. Na polanie leśnej zebrały się honorowe kompanie po-



Twórca Legionów na urlopie: Józef Piłsudski z adjutantem podpor. Wieniawą-Długoszowskim na przechadzce w Zakopanem.
(Fot J. Rybałtowski, Zakopane)

szczególnych batalionów drugiego i trzeciego pułku u stóp krzyża, wzniesionego ku czci poległych żołnierzy i oficerów drugiej brygady. Wybudowano tam brzozową kapliczkę polową, a obok niej wzniesiono ambonę. Uroczystość rozpoczął brygadyer Haller krótką przemową wygłoszoną przed frontem, w której zaznaczył chlubny przebieg walk drugiej



Twórca Legionów na urlopie: Józef Piłsudski w ogrodzie sanatoryum dra Dłuskiego w Zakopanem

brygady. O godzinie dziesiątej przybył generał Puchalski ubrany w mundur legionowy, w towarzy-



Twórca Legionów na urlopie: Pokój t. zw. łowicki w zakładzie dra Chramca w Zakopanem, gdzie mieszkał Piłsudski. Na stole szabla ze złotą rękojeścią, ofiarowana Piłsudskiemu przez oficerów I. brygady.

stwie reprezentantów armii austryackiej i niemieckiej.



Twórca Legionów na urlopie: Józef Piłsudski przed odjazdem z Zakopanego do Krakowa.

Po odprawieniu Mszy polowej, wstąpił na kazalnicę ksiądz kapelan Antosz, podnosząc w gorących słowach znaczenie drugiej brygady, która dla narodu stała się symbolem żelaznej woli i wytrwałości. Wzywał do wytrwania przy sztandarze w chwili zbliżającej się decyzyi dla przyszłości narodu, gdyż w ten sposób tylko stać się można kowalem własnego losu.

Po nabożeństwie nastąpiła defilada wydelegowanych oddziałów przed generałem Puchalskim, brygadyerami Januszajtisem, Hallerem i Zielińskim oraz pułkownikiem Sikorskim i Berbeckim, poczem grono



Twórca Legionów na urlopie: Józef Piłsudski z podpułk. Leonem Berbeckim w Zakopanem
(Fot J. Rybałtowski, Zakopane)

oficerów zasiadło z delegowanymi żołnierzami i oficerami do śniadania, podczas którego przygrywała orkiestra drugiej brygady. Przy śniadaniu rozdano wszystkim uczestnikom jednodniówkę wydaną na cześć drugiej brygady przez Departament Wojskowy N. K. N. Podporucznik Elsenberg odczytał podczas tego liczne telegramy i adresy nadesłane na uroczystość, między innemi od Prezydyum N. K. N.,



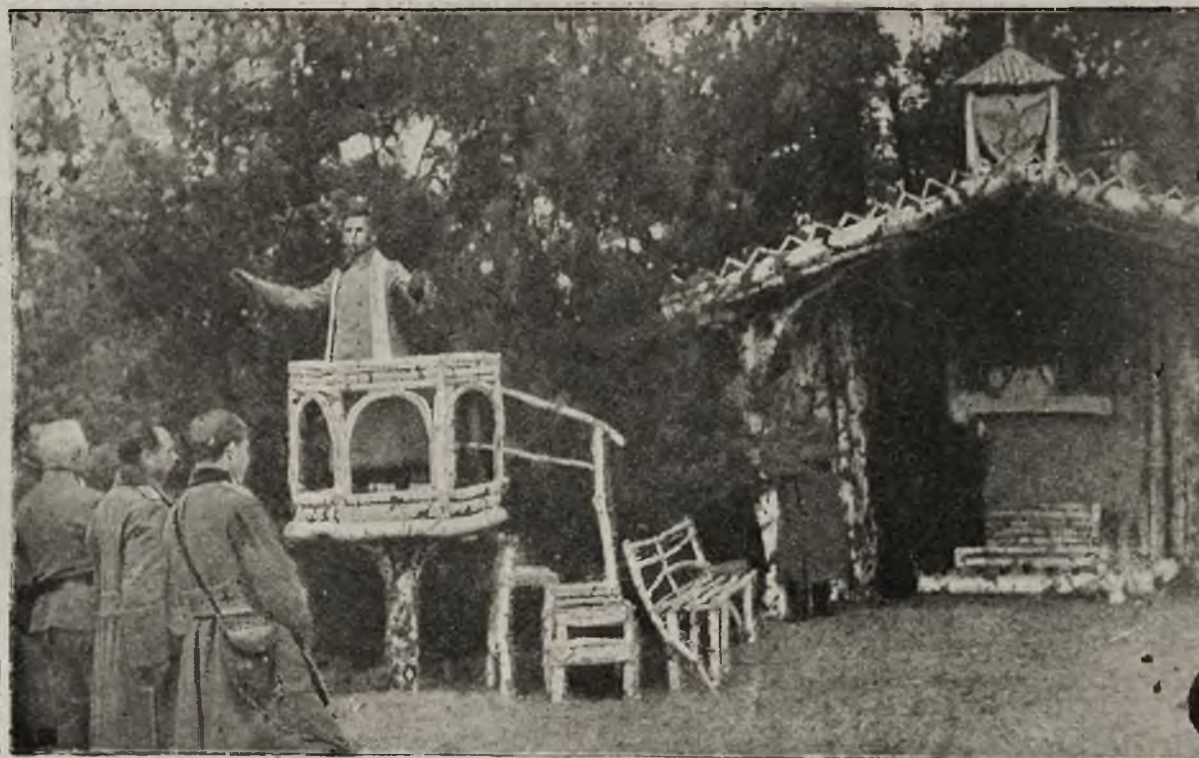
Twórca Legionów na urlopie: Józef Piłsudski w gronie rodziny dra Dłuskiego (X) w Zakopanem.
(Fot J. Rybałtowski, Zakopane)

Prezydyum miasta Krakowa, D. W. N. K. N. oraz Ligi kobiet z Warszawy.

Twórca Legionów na urlopie.

„Stworzyłem żołnierza polskiego — powiedział o sobie Piłsudski na wydanej ku jego czci uczcie

w Krakowie — rzeczą jednak całego społeczeństwa musi być praca nad stworzeniem niepodległej Polski". Istotnie — bez względu na wynik obecnej wojny i jej plony dla sprawy polskiej, Legiony 1914 roku pozostaną na zawsze związane z imieniem Piłsudskiego. On stworzył polskie organizacye militarne i on powiódł pierwszych żołnierzy polskich do boju, pełen wiary w lepszą, wolną przyszłość Polski...



Rocznica drugiej brygady Legionów polskich: Kapelan Legionów, ks. Antosz, przemawia do zgromadzonych (Fot. dr Korolewicz)

Wystawa wojenna we Lwowie.

Niezmiernie interesującą wystawę mogą podziwiać mieszkańcy Lwowa. Jest to wystawa wojenna drugiej armii, obejmująca wszystko, co z wojną ma jakikolwiek związek. A więc przedewszystkiem rzeczy ściśle wojenne, jak budowę rowu strzeleckiego, który można oglądać w całej jego prawdzie i prostocie. Umocniony, jak należy, drutem kolczastym, z korytarzykami krętymi i z małą panoramą części frontu pozwala zapoznać się dokładnie z konstrukcyą tak często codzień wspominanej ziemianki. Ze zaś nigdy może nie stały się uczucia religijne tak intenzywne i szczere, jak w czasie wojny, więc nie zapomniano także o polowej kapliczce, zbudowanej niezwykle artystycznie i z wysokiem poczuciem formy, obok kaplicy poświęcono specyalny kiosk z pamiątkami po zmarłych żołnierzach, licznemi reprodukcyami ich grobów i t. p.



Wystawa wojenna we Lwowie: Wejście na wystawę i główny pawilon. (Fot. M Münz, Lwów).

Na wystawie tej przedstawiono atoli nie tylko dział ściśle wojenny, o ile dotyczy on służby na froncie, ale nie zapomniano również o całej organizacyi etapowej i tej właśnie poświęcono specyalny pawilon. W różnych jego salkach znalazły pomieszczenie przeróżne działy, a więc najpierw dział automobilowy, budowa kolei żelaznych i wogóle budowli do celów wojskowych. Nie pominięto również trenu, poczty polowej, służby sanitarnej, intendantury, zbiórki metali. Na podstawie zebranych objektów dopiero można nabrać właściwego wyobrażenia, jak trudna jest cała organizacya służby poza frontem, jak sprężyście musi całość funkcyonować, aby odpowiedziała swym zadaniom. Wystawiono modele różnych stacyj i pawilonów, a także szpitali epidemicznych z urządzeniami najnowszej konstrukcyi. Na ścianach rozwieszono zaś liczne tablice, które graficznie unaoczniają wiele ciekawych danych z ruchu poczty polowej, z ilości procentowej chorób etc. Przez piękną galeryę, ze smakiem ukwieconą, przechodzi się do oddziału przemysłowego.

Dowody działalności na tem polu dała druga armia istotnie imponujące. W specyalnym pawilonie unaoczniono działalność różnych zakładów przemysłowych. Ze zdumieniem trzeba podziwiać tartaki, cegielnie, budowę wiaduktów, motorów i tym podobnych, a nie są to bynajmniej jakieś amatorskie usiłowania, lecz stworzenie istotnie różnych terenów pracy. Osobny pawilon poświęcono działalności rolniczej drugiej armii, która może się poszczycić bardzo miłymi dowodami swej pracy na tem również polu.

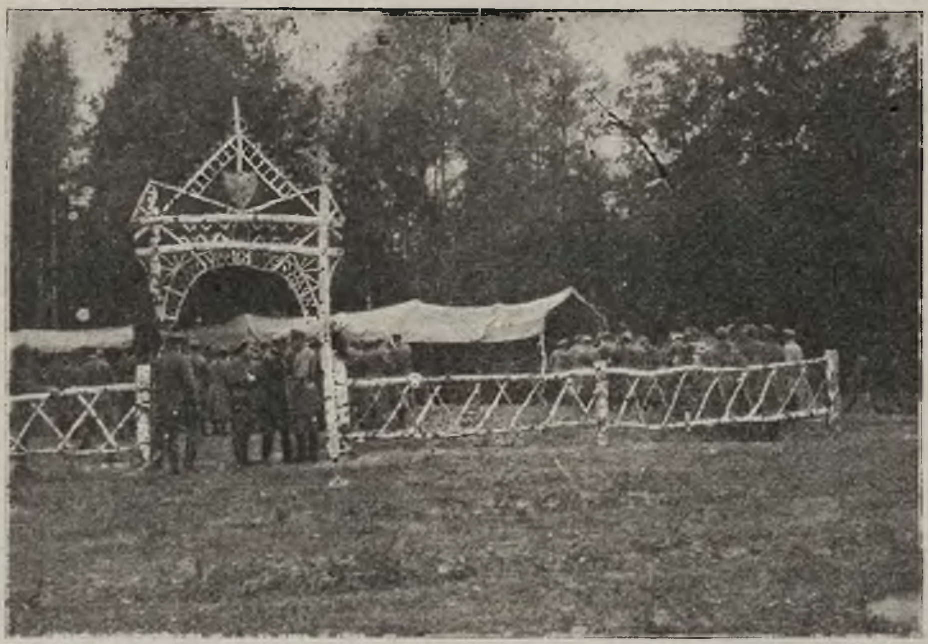
Bardzo zgrabnie wykonano pawilony Czerwonego Krzyża, austryackiego i węgierskiego, gdzie reprodukowano stacyę posiłkową, szpitale polowe i ambulatorya chirurgiczne, rozmaitego rodzaju opatrunki i przyrządy dla rannych i inwalidów, przyrządy kąpielowe, aparaty dezynfekcyjne i t. p. — Wszystko to świadczy, że cały aparat Czerwonego Krzyża mimo wielkich trudności, jakie ma do pokonania, spełnia doskonale poruczone mu zadania, a statystyka potwierdza, że jest to instytucya, która w całej pełni zasługuje na poparcie.

Na wystawie znajdujemy prócz tego niezwykle ciekawe okazy, jak na przykład trzy ustrzelone latawce rosyjskie, jeden Fahrmana, dwa jednopłatowce Merana. Na niektórych z nich ślady kul i osmalone śmigi świadczą dowodnie o burzliwych warunkach, w jakich zdobycie zapewne nastąpiło.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach za-



Wystawa wojenna we Lwowie: Wnętrze głównego pawilonu. (Fot. M. Münz, Lwów)





Brama tryumfalna na miejscu uroczystości. **Rocznica drugiej brygady Legionów polskich:** Kuchnia i „piwnica" podczas przyjęcia. (Fot dr Korolewicz)

wartość tej przeciekawej wystawy, pełnej okazów wartościowych, a bardzo zręcznie i artystycznie urządzonej.

Z południowego frontu.

Choć z chwilą wybuchu wojny z Rumunią nowe tereny walki i nowe siły uderzyły na Austryę, sytuacya militarna po stronie koalicyi bynajmniej się nie poprawiła. — Początkowe sukcesy Rumunów w Siedmiogrodzie skończyły się ich klęską. W ostatnich dniach rozbite armie rumuńskie musiały nawet opuścić Kronsztadt, którego zajęcie wprawiło Rumunów i koalicyę w ogromny entuzyazm. Zato dziś panuje w Rumunii coraz większe rozczarowanie, które spotęgowało się jeszcze na wieść o odebraniu Kronstadtu w dniu 7 października. Już dnia 5 b. m. wojska sprzymierzone wskutek powodzenia w górach Persany znalazły się w odległości zaledwie 17 kilometrów od Kronstadtu. Zajęły też niebawem okoliczną nizinę. — Ponieważ Rumuni zaraz po klęsce w Lesie Duchów cofnęli się na wschód, oddziały wojsk sprzymierzonych wkroczyły do Kronstadtu.



Rocznica drugiej brygady Legionów Polskich: Jenerał Puchalski w gronie oficerów. (Fot. dr. Korolewicz)

Ludność, która więcej niż miesiąc znajdowała się pod panowaniem rumuńskiem, witała z oznakami najwyższej radości pierwsze patrole konne.

Na wzgórzach koło Fogaras zostały rumuńskie siły odrzucone, a na północ od przełęczy Törzburg wojska sprzymierzone zaatakowały większe rumuńskie oddziały, które na całym wschodnim froncie siedmiogrodzkim, jakoteż w górach Görgeny szukają ratunku w odwrocie. Wojska sprzymierzone oczyszczają też wschodni zakątek Siedmiogrodu z nieprzyjaciela, posuwając się ku przełęczom górskim na wschód od Kronstadtu.

I na innych terenach frontu południowego nie lepiej powodzi się wojskom koalicyi. W Dobrudży ofenzywa wojsk sprzymierzonych postępuje naprzód, a na froncie macedońskim, gdzie wojska francusko-angielsko-serbskie rozpoczęły zapowiadaną od tak dawna ofenzywę, Bułgarzy dzielnie odpierają wszystkie ataki, zadając nieprzyjacielowi dotkliwe straty...

Tak więc na wszystkich polach południowego frontu, na którym, według zapowiedzi prasy zagranicznej, miał nastąpić zwrot w obecnej wojnie, wypadki wojenne rozwijają się w kierunku dotychczasowym, przynosząc nowe niepowodzenia koalicyi.



Wystawa wojenna we Lwowie; Ogólny widok wystawy. (Fot. M. Münz, Lwów).

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

2

Pomimo przedpołudniowej pory nie brakowało gości w wielkiej kawiarni narożnej, zwłaszcza stoliki ustawione na ulicy gęsto były obsadzone.

Widniały przeważnie mundury wojskowe, mężczyzn w ubraniach cywilnych było w kawiarni mało, kobiet jeszcze mniej, zaledwie kilka.

Tuż przy żelaznej balustradzie siedziała w towarzystwie dwóch oficerów tęga, bardzo ładna brunetka w czarnej sukni, uwydatniającej doskonale jej pełne. ponętnie zarysowane kształty.

Ponsowemi różami zdobny kapelusz z dużem rondem ocieniał malowniczo twarz okrągłą, trochę zaszeroką, o gorącym kolorycie.

Było w tej twarzy coś, co nasuwało myśl o odaliskach wschodu, odurzających w swej gorącej zmysłowości, a biernych i leniwych.

Skrzyżowały się spojrzenia nadchodzącego z Witowtówną Ludwika Rażyckiego i pięknej pani.

Rozbłysły czarne, palące źrenice kobiety, zaiskrzyły się oczy mężczyzny.

Pani Ada!

— Jakto pan w Krakowie? — zawołała pani Ada, swobodnie wyciągając do Ludwika rękę po przez żelazne sztachety ogrodzenia. — Miałam jakieś przeczucie, właśnie wczoraj pytałam o pana, ale nie powiedziano mi nic o tem, że pan przyjechał... I na długo?

— Nie wiem, dopóki się to nie wygoi! — odpowiedział, wskazując na zwieszoną na temblaku rękę.

— Ah! Prawda! Pan ranny i dlatego pan lewą rękę podaje! — zaśmiała się dźwięcznie, srebrzyście pani Ada — Dopiero teraz zauważyłam... ja taka zawsze jestem roztargniona. Ale pan się nie gniewa o tę nieuwagę, prawda?... No, to doskonale, że pan dłużej zostaje w Krakowie, będziemy się często widywali, zgoda?

— Jeżeli pani tylko pozwoli.

Młodszy z oficerów towarzyszących pani Adzie zachmurzył się i niechętne spojrzenie rzucił na Rażyckiego, przeczuwając w nim rywala. Starszy uśmiechnął się z jakąś ironiczną pobłażliwością.

— Więc dowidzenia, do prędkiego widzenia.

— Dowidzenia.

Uścisk dłoni, trochę może za długi, za gorący na zwykłe konwencyonalne towarzyskie pożegnanie.

Rażycki minął kawiarnię i poszedł dalej. Witowtówna, której powieki zatrzepotały się nagle i jakoś dziwnie ciężko opadły na oczy, skurczyła się, przygarbiła jeszcze więcej, jakby zmalała, ale z ust jej nie zniknął uśmiech, który zdawało się, że przywarł do nich na zawsze.

— Pani Warewiczowa ślicznie wygląda, prawda? — zapytała.

— Istotnie! — potwierdził żywo Ludwik, który uczuwał wielką ochotę do mówienia o pani Adzie — Ona posiada chyba jakiś tajemniczy eliksir młodości i piękności. Odkąd ją pamiętam, a pamiętam już sporo lat, byłem jeszcze studentem gimnazyalnym, kiedy ona była młodziutką mężatką, wyglądała zawsze równie młodo, świeżo i uroczo...

— Nie taki to znów bardzo tajemniczy ten eliksir. Żyje w dostatku, bawi się, stroi, pielęgnuje, nic nie robi, to i dlaczegożby miała się starzeć lub brzydnąć. No, taką już ma szczęśliwą naturę, że umie sobie radzić z troskami. Ot! I teraz pewnie martwi się o męża, który jest w polu i czy znać to na niej?... Ani trochę. Zawsze uśmiechnięta, ładnie ubrana, rano w kawiarni, popołudniu w kawiarni... wieczorem w teatrze lub na koncercie i znowu w kawiarni...

— To Warewicz przy wojsku i w polu?

Teraz dopiero przypomniał sobie, że istnieje przecież mąż pani Ady, ten szary, nic nie znaczący, małomówny człowiek, który przez cały dzień zajęty był pracą, a wieczorem, kiedy żona wychodziła do teatru lub do kawiarni, bawił się z dzieckiem, a potem szedł wcześnie spać, boć już o ósmej godzinie musiał być na swojem stanowisku...

Ot! Zwykły wół roboczy, którym się nikt ze znajomych pani Ady bliżej nie interesował, nikt się z nim nie liczył, a najmniej własna żona.

— Tak jest, od sześciu miesięcy pani Warewiczowa jest słomianą wdową. Ktoby się tego domyślił?... Łzy tęsknoty za mężem bynajmniej nie psują świeżości jej cery. Tak samo z dzieckiem. Ile to inne matki nakłopoczą się, najęczą, a u niej ani śladu tego. Dziecko się chowa i dobrze. Matka sobie... dziecko sobie... no i wszystko w porządku...

Ludwik zmarszczył brwi, bo chociaż Kornelia mówiła ze zwykłym swoim wesołym, uprzejmym uśmiechem, zrozumiał ironię, zawartą w jej słowach, a która tem więcej go gniewała, że w głębi ducha uznawał słuszność tej krytyki.

Ale on nie miał ochoty w tej chwili zastanawiać się nad moralną wartością pani Ady, nie zamierzał zgłębiać jej pedagogicznych i rodzinnych zalet.

Czuł tylko, że krew zaczyna w nim wrzeć na wspomnienie długiego uścisku, ciepłej i miękkiej ręki.

— Widzę, że pani się staje ironiczną i złośliwą — rzucił szorstko — zapomina pani, że kobietom pięknym wybacza się wiele, mają one swoją specyalną psychologię.

— Której ja nie rozumiem — podchwyciła żywo Kornelia z taką zadowoloną miną, jak gdyby najprzyjemniejszy usłyszała komplement — naturalnie, jakżebym ja rozumieć mogła... Skądże ja wiedzieć mogę, co się pięknym kobietom wybacza, a czego się nie wybacza. Wiem tylko, że brzydkim nie wybacza się złośliwości nigdy, dlatego też niech mnie pan o nią nie posądza! Jeszcze by mi tylko złośliwości brakło do garnituru, a mogłabym figurować w jakiej komedyi jako „brzydka intrygantka — czarny charakter". Nawiasem mówiąc, takie tylko role dawano mi zawsze w teatrach amatorskich i odgrywałam je pono ku wielkiej uciesze widzów, chociaż w życiu talentu do intryg nie miałam nigdy... Ale co tam o tem... mówmy o czemś innem, co pana więcej zainteresuje. Zauważyłam, że pani Warewiczowa bardzo się ucieszyła pańskim przyjazdem.

Ludwik poczerwieniał, ale rozchmurzył się odrazu. — Pożałował nawet szorstkiego tonu, jakim przemówił poprzednio do Kornelii. Przecież to rzeczywiście dobra dziewczyna.

— Zdaje się pani tylko. Ona ma tylu znajomych... adoratorów... Ten na przykład porucznik, który z nią siedział w kawiarni, zakochany szalenie, z oczu mu to patrzy.

— Tak, bez wątpienia... taka ładna, urocza kobieta... nic dziwnego zresztą. Ja jednak odniosłam wrażenie, że pan zajmuje ją więcej, niż ta cała zgraja różnorodnych wielbicieli.

Rażycki uśmiechnął się. Nie! Ta Kornelia jest stanowczo sympatyczna!

A ona patrzała mu w oczy ciągle, jednakowo się uśmiechając, z jakiemś pokornem oddaniem, pytając go spojrzeniem, czy już zadowolony, czy się na nią nie gniewa.

Osiągnęła swój cel, wygładziła zmarszczkę niezadowolenia na jego czole.

Chciała mówić jeszcze, powiedzieć mu znowu coś pochlebnego, miłego, przyjemnego, ale Rażycki uprzedził ją wołając:

— Rynek! Doprawdy Rynek, nasz krakowski Rynek!

Przystanął, zapomniał zarówno o swojej brzydkiej towarzyszce, jak i o pięknej pani Adzie.

Patrzył i chłonął w siebie, w oczy i w duszę to piękno zaklęte w podniebnym pędzie smukłych wieżyc kościelnych, w harmonijnych, łagodnych liniach Sukiennic, w tej przedziwnie uroczej całości Rynku krakowskiego, który niema równego sobie, a takie wywiera wrażenie, jak wizya z lat dawnych, rycerskich, jak strofa pieśni o dawnej sławie, o minionej chwale, rzucona w banalny zgiełk uliczny nowożytnego miasta, pomiędzy turkot pojazdów, dzwonki tramwajów, sapanie samochodów.

Ludwik, dziecko Krakowa, Rynek ten oddawna znał i kochał, tęsknił do niego nieraz tam w okopach, dzisiaj jednak po raz pierwszy przemówił on do niego mową wieków, stawił mu przed oczyma te wszystkie postacie, o których pieśń dotąd gwarzy...

Z cichego zachwycenia wyrwał go piskliwy głos kobiecy:

— Psiakość pierońska! Czego się panna pchasz naprzód! Czekaj panna swojej kolei! Panie starszy, ta panna myśli, że jak se grzywkę zakręciła i gębę upudrowała, to już wszędzie musi być pierwsza... Ja mam w domu dzieci sześcioro, ja nie mogę czekać. A pan tu od tego jesteś, żebyś porządku pilnował!

Rażycki spojrzał. Wzdłuż ulicy ciągnął się sznur ludzi ustawionych w pary, koło tego tłumu przesuwali się policyanci tam i z powrotem.

— Wypadek chyba jakiś — rzekł Ludwik — bo cóżby to zbiegowisko znaczyć miało?

— To żaden wypadek — to konieczność chroniczna. W gwarze krakowskiej nazywa się to ustawiać się „w ogonek".

— A to w jakim celu?

— Po to, żeby dostać cukru, mąki, kawy, chleba i t. p. rzeczy. To jedno z urozmaiceń wojennych cywilnego życia poza frontem i bodaj jeszcze nie najgorsze. Wkrótce dowie się pan o innych.

— O czem, czy o kim ma się pan Ludwik dowiedzieć? — zabrzmiał przy nich dźwięczny głos kobiecy — Dzień dobry państwu. Oto jestem! Nie spodziewał się pan mnie tak prędko zobaczyć, prawda?

Oblana blaskami słońca stała pani Ada z wiązanką róż ponsowych w ręku, sama podobna do południa słonecznego i róży pysznie rozkwitłej.

— Niespodzianka, co?

— Urocza, cudowna niespodzianka...

— Odprawiłam porucznika i kapitana i pobiegłam za panem, bo zdjęła mnie szalona ochota porozmawiać z panem. Wie pan, z nikim nie gawędzi się tak miło. Ale róże to dla pana na powitanie.

Ludwik wziął róże i gorące wargi jego przywarły w podzięce do białej, wypieszczonej ręki pani Ady.

— Chociaż właściwie, to pan nie zasłużył na tyle dobroci. O! Bo ja mam z panem na pieńku... Przez cały czas nie napisał pan ani słowa!

— Gdyby pani wiedziała, jak to trudno w polu...

— Tylko proszę nie kłamać, nie wykręcać się, bo nic a nic panu nie wierzę. Już ja pana znam...

Zuchwale spojrzał jej w oczy.

— I ja panią... trochę.

— Znamy się nawzajem... *Voilà*, w tem cały urok. Ale pan się zmienił... zmizerniał trochę, ogorzał, zmężniał jakoś. Do twarzy panu z tem... wygląda pan bardziej interesująco... No, żołnierzowi w tych czasach wojennych dużo się wybacza, ale w każdym razie zawinił pan i kara minąć nie może.

— Pani Ado, przez litość, niechże kara nie będzie zbyt sroga. Sama pani wspomniała o pobłażliwości dla żołnierza, a wszak wracam z frontu.

— No, zobaczymy, wezmę pod uwagę okoliczności łagodzące, a teraz może wstąpimy do cukierni na lody. Straszny dzisiaj upał, a ja jestem taka zmęczona... taka zmęczona...

Kornelia zrozumiała, że w tej chwili niema dla niej miejsca przy tych dwojgu, że powinna odejść. Przywykła już do tego, by się usuwać, cicho, szybko, pokornie, niepostrzeżenie, skoro poczuła, że jest zbyteczna.

I teraz odeszła, rzuciwszy krótkie: do widzenia, na które nie otrzymała nawet odpowiedzi.

ROZDZIAŁ II.

Rażycki wszedł do restauracyi. Owionęła go duszna atmosfera, przesycona oparami piwa, wyziewami alkoholu, dymem cygar i papierosów, z wonią mięs smażonych, zapachem ostrych przekąsek. Pełno było. Pierwsza sala, w której znajdował się bufet, była tak zadymiona, że postacie gości i kelnerów owiane były jakimś obłokiem niebieskawym.

Rażyckiemu, który odwykł podczas służby na froncie od dusznego powietrza restauracyi i handelków, zabrakło w pierwszej chwili oddechu w płucach.

— Bombka raz!

— Dwie bomby!

— Wieprzowa z kapustą!

— Gulasz barani!

Kelnerzy i ich pomocnicy, dorastający chłopcy, zwijali się, jak w ukropie.

Jak dawniej! Z tą tylko różnicą, że silniej natłoczone były sale restauracyjne, większy ścisk panował przy zastawionym przekąskami bufecie. Skromna liczba ubrań cywilnych mieszała się z tłumem mundurów wojskowych.

Wojna też wprowadziła do tych sal nieznaną tutaj dawniej różnojęzyczność. Dominowała wprawdzie rozmowa polska, ale nie rzadko rozbrzmiewał także język niemiecki, a tu i ówdzie dolatywały słowa czeskie, węgierskie, chorwackie.

— No, jakże dyrektor myślisz, napijemy się jeszcze po „bombce", czy nie?... Bo to już doprawdy ten „pilzner" taki drogi, że grzech po prostu pić!

— E... co tam, profesorze — odparł dyrektor, odznaczający się typową tuszą i obrzękłą czerwoną twarzą „piwosza". Są pieniądze, niema pieniędzy, wszystko jedno, a tymczasem pijmy, dopóki „pilzner" jest, bo może go zabraknąć... Słyszałem, że produkcya piwa ma być ograniczona...

— W takim razie napijmy się jeszcze! Ale co dyrektor mówisz, będzie ograniczenie produkcyi piwa?... Czego to już wkońcu nie ograniczą?...

— Albo ja wiem czego! Może będziemy musieli w przyszłości, tak, jak żydzi chassydzi, w szabas liczyć odmierzone kroki i... to na karty!

— Oj czasy! czasy!

Opodal grupka młodych ludzi dyskutuje tak zawzięcie, że zapomnieli nawet o stojących przed nimi kuflach piwa.

— Czy tak, czy owak — twierdzi jeden, a w po dłużnej, bladej, chorowitą naturę zdradzającej twarzy błyszczą mu jak rozżarzone węgle czarne oczy — dla nas coś stać się musi... To konieczność dziejowa, nieunikniona... To kwestya międzynarodowa... Przecież wszystko, co się dzieje, to jest „Fluch der bösen Tat“!...

— Gadanie — odrzuca mu sceptycznie towarzysz — musi, nie musi... Musiałoby, gdybyśmy mieli o! to mocne!...

I podsunął blademu młodzieńcowi pod nos ściśniętą pięść.

Rażycki postąpił kilka kroków dalej, upatrując znajomych twarzy.

— Ludwik! Jesteś nareszcie! Czekam na ciebie już od godziny! Piwo masz? Nie! No to ci przyniosę, nie dopchałbyś się sam z twoją ranną ręką! A teraz chodź, przedstawię cię moim towarzyszom — wołał Stanisław i nie czekając na odpowiedź Ludwika, przedstawiał:

— Mój kolega, chorąży Ludwik Rażycki — pan radca Maliniewicz, pan profesor Stobiński.

— Pan prosto z frontu? — zagadnął radca, siwiejący już, ale bardzo przystojny jeszcze, dobrze zakonserwowany mężczyzna. — Straszne rzeczy tam się dzieją, prawda?... Ogień, jakiego nie pamięta jeszcze historya tej wojny... To się chyba nie da opowiedzieć! I co to będzie, panie, co będzie?...

Ludwik wzruszył niechętnie ramionami. Iryto wały go te ciągłe, stereotypowe pytania o to, o czem chciał przestać myśleć, o czem pragnął zapomnieć.

— Słusznie pan radca mówi, że to się nie da opowiedzieć, dlatego też ja nie mam zamiaru nic opowiadać... A co będzie, tego nie wiem. Żołnierz nie lubi bawić się w proroka. Od wielu miesięcy nie byłem już w Krakowie, wolałbym usłyszeć, co tutaj nowego...

— A cóżby, łaskawy panie, bieda z nędzą... Ledwie się żyje, ledwie się oddycha.

Radca Maliniewicz rozpoczął ze Stobińskim, szczupłym, drobnym, a jak wąż giętkim i ruchliwym człowieczkiem, rozmowę o ciężkich czasach, o drożyźnie, o kłopotach, trudnościach aprowizacyjnych.

Ludwik znudzony nie słuchał. Cóż go to obchodzić mogło, ile kosztuje kilo mięsa i dlaczego w mieście ustawicznie brakuje cukru.

Czego innego chciał się dowiedzieć, ale czego, tego sam dokładnie nie wiedział.

Tymczasem Stobiński bardzo zręcznie przeskoczył z aprowizacyi na zupełnie inny temat.

— To pan radca teraz, jakby to powiedzieć... słomiany kawaler... Córeczki wyjechały... Panna Józia zniknęła tak nagle, widziałem ją przed kilku dniami, nic mi nie wspominała o projekcie wyjazdu.

— Bo to przyszło nagle. Zaproszono ją i pojechała. Kazię wysłałem już przedtem do ciotki. Józka jechać z nią nie chciała, bo ta smarkata musi mieć zawsze swoje grymasy. No, ale na szczęście przyszło to zaproszenie i pozbyłem się na jakiś czas kłopotu.

— Miły to kłopot taka śliczna córeczka — zaśmiał się przymilnie Stobiński, którego ta rozmowa o „ślicznej córeczce“ zdawała się specyalnie interesować.

— Miły, jak dla kogo — machnął Maliniewicz ręką. — E!... panie drogi, czy to pan nie wie, co to znaczy być ojcem, a jeszcze takiej Józki!...

— No, to najlepiej pozbyć się kłopotu, wydając córkę odpowiednio za mąż...

W brzydkiej, żółtawej twarzy Stobińskiego oczy zamigotały zielonawo, jak u kota.

— O! nie spieszy mi się zostać dziadkiem! Zresztą ta smarkata jeszcze ma czas, a czego jak czego, ale konkurentów to jej nie braknie. Żeby ona tyle rozumu miała, ile ma wielbicieli. Panie, co ja z nią przeszedłem, kiedy była w Pradze podczas ewakuacyi!

Stobińskiemu broda poczęła jakoś nerwowo latać.

— Otóż to właśnie!... Za dużo wielbicieli, to niebezpieczne, dlatego trzeba, żeby panna Józia wyszła wcześnie za mąż i to za człowieka na stanowisku, solidnego, statecznego, któryby umiał pokierować śliczną, ale trochę płochą żoneczką...

Już nie tylko broda, ale cała twarz drgała mu nerwowo, powieki mrugały silnie, uporczywie wpatrywał się w twarz radcy.

Maliniewicz uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie ma o czem jeszcze mówić — odpowiedział wymijająco — jak powiedziałem, dziewczyna ma jeszcze czas, a teraz niechże sobie posiedzi na wsi, kiedy ją pani Walczakowa do Zalesinek zaprosiła.

— Jestem już! wyczekałeś się! Ale trudno, taki tam tłok przy piwie, że nie można się docisnąć — zabrzmiał głos Stanisława, który postawił przed Ludwikiem „bombę“ piwa.

Ostatnie słowa Maliniewicza zainteresowały Ludwika.

— Pan radca wspomniał o pani Walczakowej z Zalesinek. Czy to o pannie Żurakowskiej z domu mowa?

— Tak jest. Pan ją zna?

— To moja kuzynka!

— Winszuję pokrewieństwa! Panie, co to za śliczna, miła kobietka. Jak ją poznałem w Pradze, o mało co, a byłbym się zakochał!... Moją Józkę lubi bardzo, troszczy się o nią, jak o rodzoną siostrę.

— O Anielce Żurakowskiej mówicie panowie — wtrącił Stanisław — ładna istotnie dziewczyna, ale dziwaczka, co się najlepiej okazuje w tem jej niedorzecznem małżeństwie.

— Dlaczego niedorzecznem? — zapytał Ludwik.

— No, chyba ładna panna, z dobrej obywatelskiej rodziny i z posagiem w dodatku mogłaby lepszą partyę zrobić. Walczak nie ma majątku i to człowiek nie z naszej sfery.

— Dajże spokój ze sferą, co to ma za znaczenie obecnie.

— Pewnie, że głupstwo sfera — odezwał się radca — ale tu o co innego chodzi. Walczak zdolny, panie tego, bardzo zdolny, przyszłość miał przed sobą piękną, ale teraz to kto tam wie, jak z tą przyszłością będzie. Jedna noga pozostała sztywna, ręką nie włada, no i wogóle zdrowie nadszarpnięte. Cóż to za życie dla kobiety młodej, ładnej, zdrowej?

Ludwik poczuł przykre ukłócie w sercu i mimowolnie spojrzał na swoją ranną rękę.

Lekarz powiedział mu dzisiaj, że rana goi się dobrze i że za kilka miesięcy będzie mógł władać ręką zupełnie dobrze. Nie było więc obawy, aby został kaleką.

A jednak strach go jakiś przeniknął, a gdyby... a gdyby było inaczej...

Nie wszystkie kobiety są Anielkami Żurakowskiemi. Przypomniał sobie kobietę, z którą pożegnał się niedawno.

— Och! Pani Ada... jakżeby ta przyjęła męża, któryby powrócił do niej niezdolny do wytężającej pracy.

— Ludwik jak się masz? Nie poznajesz mnie?!

Słowa te wyrzekł młody żołnierz w muodurze Legionisty. Legionista wspierał się całym ciężarem na kulach, nie miał bowiem jednej nogi.

Twarz jego wywierała przejmujące, tragiczne wrażenie.

Jedna połowa twarzy była gładka, świeża, młodzieńcza, druga przeorana, zeszpecona straszliwą blizną wykrzywiającą usta.

— Władek, ty?!

— Tak, ja... Nie poznałeś mnie odrazu? Co prawda trudno mnie poznać.

Coś chwyciło Ludwika za piersi i dławiło go za gardło.

To Władek, Władek Jawicz — ten śliczny chłopiec, najzgrabniejszy tancerz, znany sportowiec... Władek, o którym dla jego urody krążyła piosenka:

„I z postaci i z oblicza,
Któż piękniejszy nad Jawicza“.

— Dwa lata prawie nie widzieliśmy się — po wiedział Jawicz — Zmieniłem się przez ten czas, co? Ano *à la guerre comme à la guerre*... Chodź, napijemy się czego, tylko ja muszę usiąść, bo stać długo nie mogę.

Ludwik pożegnał swoich towarzyszów i poszedł za Jawiczem do drugiej sali, gdzie usiedli przy stoliku.

— Dwie wódki, tylko większe! — rzucił Jawicz kelnerowi.

— Nie piłeś dawniej wódki — zauważył Ludwik.

— Dawniej było co innego. Teraz piję. No, nie patrz na mnie z takim tragicznym smutkiem. Żołnierska dola...

Ludwik ochłonął już z pierwszego wrażenia.

— Nie mam wcale zamiaru robić tragedyi. Jestem, jak ty żołnierzem i to samo lub nawet co gorszego spotkać mnie może. A ty nie powinieneś poddawać się rozpaczy. Masz przecie zdrowe oczy, zdrowe ręce i głowę na karku. Radę sobie dasz w życiu.

— Pewnie, że sobie jakoś dam, a zresztą... szkoda o tem gadać. Poszedłem dobrowolnie... nic mnie nie zmuszało, jestem przecież Królewiakiem... I wiesz, tylko jedna myśl mnie dręczy, chciałbym wiedzieć czy... Zresztą dajmy i temu spokój... W szynku do serca się nie zagląda — tylko do kieliszka.

Urwał, sięgnął po wódkę, którą przyniósł kelner i wychylił kieliszek jednym haustem.

— Władek, tyś przecie miał narzeczoną, co z nią słychać?

— Moją narzeczoną? O! Wyszła już za mąż, tylko nie za mnie. Przestraszyła się prawdopodobnie tego... no, mojej zmienionej nieco fizyognomii... A niech tam!

— Podła! — wyrwało się Ludwikowi.

— Cóż za ostre słowo! Nie przesądzajmy, mój drogi. Ja przebaczyłem i zrozumiałem. Nie starczyło jej sił do podjęcia takiej próby... no i jak się okazało, to praktyczną była, choć lubiła mówić o ideałach. Ot, kobieta!

— Nie wszystkie kobiety jednakowe! — odparł Ludwik, który przypomniał sobie Anielkę.

Jawicz skinął głową.

— Masz racyę. Hela Lidzińska inaczejby postąpiła.

— Hela Lidzińska... Hela Lidzińska — powtórzył sobie w myśli Rażycki — Gdzie i kiedy słyszał to imię?

W wyobraźni jego wychyliły się wielkie, ciemne, głębokie oczy kobiece, widziane dzisiaj w przelocie na ulicy.

— Kto to ta Hela Lidzińska? — zapytał.

— Koleżanka mojej byłej narzeczonej — odparł Jawicz — śliczna, niepowszednia natura, dzielna dziewczyna, a ciężkie ma życie.

— Dlaczego?

— Opowiem ci to kiedyindziej, jeżeli zechcesz wiedzieć. A teraz, o co to ja cię chciałam zapytać? Acha! Widziałeś już może panią Adę Warewiczową, twoją i moją ongiś „flamę“. Spotkała mnie niedawno i pytała o ciebie.

Ludwik zmieszał się.

— Tak, widziałem ją...

— No, nietrudno ją spotkać, wszędzie jej pełno. Słuchaj, Ludwik, powiem ci coś, czego chcesz — słuchaj, czego nie chcesz — nie słuchaj, ale ja ci to powiedzieć muszę. Unikaj tej kobiety, ona ci nic dobrego nie przyniesie.

Rażycki poruszył się niespokojnie na krześle.

— Gniewasz się może o to, co powiedziałem? Wierzaj mi, że to nie zazdrość przemawia ze mnie, ale ja tę kobietę przejrzałem... Ludwik, znasz ty jej męża?

— Bardzo mało, to niedołęga zdaje mi się.

— Niedołęga? O, nie! To tylko człowiek o głębiej dobroci serca, który młodość miał smutną, szarą, bezbarwną i piękną żonę swoją ukochał uczuciem cichem, głębokiem a mocnem, jak śmierć. — Wyrwał ją z biedy, z rodziny, w której było dużo dzieci a mało pieniędzy, otoczył ją dostatkiem, pracował na nią, zacinał zęby i milczał... Niedołęstwo? — mówisz — Można to tak nazwać... dla tego, że nie miał siły wyrzec się jej, wypędzić... Kocha ją, a zresztą dziecko... Jabym powiedział, że tragiczny człowiek.

Ludwik wbił wzrok w stojący przed nim kieliszek i nic nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ III.

O umówionej godzinie dzwonił Ludwik Rażycki do mieszkania pani Ady. Otworzyła mu służąca.

— Czy pani w domu?

— Tak jest, proszę pana.

Drzwi lekko się uchyliły i ukazała się w nich głowa pani Ady.

— Dobry wieczór panu! Proszę poczekać trochę, proszę być cierpliwym, bo ja się ubieram.

Czarnowłosa głowa kobieca zniknęła.

Ludwik wszedł do pokoju za służącą, która przekręciła kontakt światła elektrycznego i wyszła.

Pokój przepojony był wonią róż, ulubionego kwiatu pani Ady. Więzie róż ponsowych, bladoróżowych, gorącożółtych, nieskalanie białych tkwiły w wazach naśladujących antyczne.

Na stole stało czarno-atłasowe pudełko, do połowy napełnione jeszcze różnorodnymi cukrami. Za jedwabną wstążeczką, wewnątrz pudełka, wetknięty był bilet wizytowy, obok stała popielniczka z niedopałkami papierosów.

Ludwik usiadł na ustawionej w rogu kanapce, na której leżała rzucona niedbale otwarta książka...

Rażycki czuł się jakoś nieswojo... szedł tutaj ociągając się, wahając, jakby wbrew swojej woli...

Słowa Jawicza pomimo, że starał się je odpędzić, brzęczały mu ciągle w uszach: „Unikaj tej kobiety, ona ci nic dobrego nie przyniesie“...

Spojrzenie jego padło na stół, zauważył wykwintne pudełko z cukierkami, bilet wizytowy i popielniczkę, pełną wypalonych papierosów.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Po zajęciu Gorycyi.

Nowe wysiłki Rosyan na froncie wschodnim oraz nowe tereny walki w Siedmiogrodzie i w Dobrudży odsunęły na dalszy plan bezustanne zmagania się poza linią poprzednią, utrzymywaną przez przeciąg czternastu miesięcy. Nawiązując do zastawkowego stanowiska wojsk austryackich na wschód od Gorycyi, prowadzącego od Monte Santo u kolana Soczy na północ od Gorycyi, poprzez Monte Gabriele, Monte flankujący, by w razie powodzenia planu, przekroczyć potok Vertojbicę, poczem posuwając się wzdłuż drogi Rubbia-Biglia z flanki, nacisnąć na drogę, wiodącą doliną Wippawy. Pierwszy ten, znacznemi siłami wykonany atak został z łatwością odparty.





(C. B. W. — N. K. N.) Nabijanie karabinu maszynowego. **Legiony w ostatnich walkach:** Odpoczynek po całonocnej pracy przy karabinie maszynowym.

na froncie włoskim. Ale i tam toczą się ciągle zacięte walki, z których doszła do największego napięcia bitwa na płaskowzgórzu Karstu.

Gdy oddziały wojsk włoskich, po zdobyciu Gorycyi, nie potrafiły owładnąć także i wzgórzami, wznoszącemi się na wschód od miasta, poczyniło kierownictwo wojsk włoskich rozległe przygotowania do nowego uderzenia, które przewyższyć miało jeszcze ostatnią ofenzywę pod względem wkładu sił i zużycia materyału ludzkiego. Na zachód od Soczy nagromadzono w tym celu olbrzymie masy wojsk, które rzucono do nowej bitwy. Nowy front wojsk austro-węgierskich nad Soczą, przeciw któremu się zwróciła na wielką zakrojona skalę akcya Cadorny, leży na odcinku, który cofnięto w czasie ostatniej bitwy przeciętnie o cztery do pięciu kilometrów San Marco, potok Vertojbicę, biegnie ten front dalej prawym brzegiem Vertojbicy w południowym kierunku, poczem przechodzi wzgórzami na wschód od doliny Vallone, na zachód od miejscowości Łokwica i Opatiaselo. Dalej na południe wciągnięty został w linię Debeli Vrh, stanowiący jakoby naturalne stanowisko flankujące i opanowujący zarówno stanowiska na Karście, jak i teren na południe od Monfalcone.

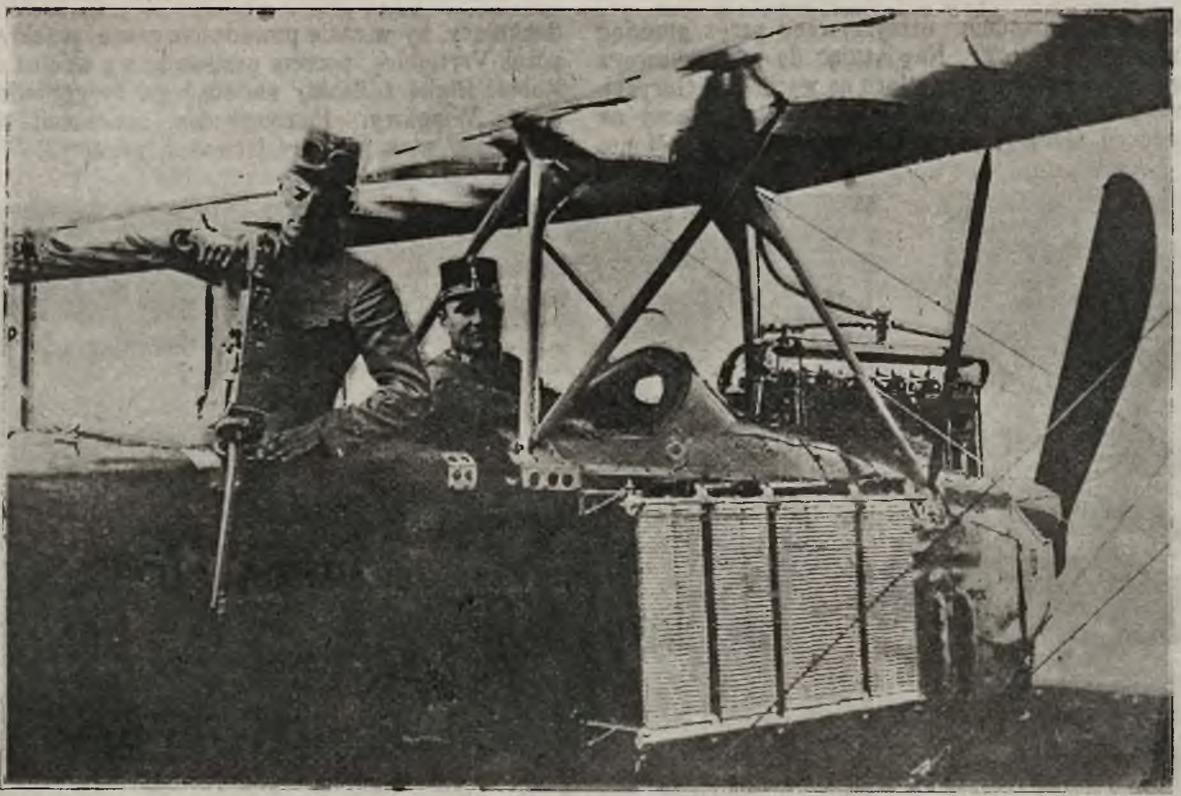
W walkach sierpniowych po zajęciu Gorycyi usiłowali Włosi przedewszystkiem wysadzić w powietrze stanowisko zastawkowe pod San Marco. Kierowała nimi przytem intencya przedarcia się naprzód wzdłuż doliny Wippawy i zwinięcia zapomocą oskrzydlenia stanowisk armii austro-węgierskiej. — Z tego też powodu rozpoczęli pod Merną silny atak

Wobec tego przełożyli Włosi ataki swoje dalej na północ. Z łuku pod Salcano u kolana Soczy na północ od Gorycyi zaatakowali dwa szczyty stromo ku południu opadającego Ternowańskiego Lasu, które panują nad doliną Soczy: Monte Santo oraz San Gabriele.

Następnie po dłuższej pauzie przedsięwzięli trzecie uderzenie na wielką skalę od czasu usadowienia się Włochów w Gorycyi. Znowu wybrał przeciwnik jako skraj do ataku dawniejsze pole walki, płaskowyże Karstu. Taktyka jego, podobnie jak za poprzednich bitew nad Soczą, polega na godzeniu szerokim frontem na całą linię Karstu. Co do intenzywności porównać można działalność artyleryi oraz szturmy piechoty tylko z atakami francusko-angielskimi na froncie zachodnim i z ostatnimi rosyjskimi



Po zajęciu Gorycyi: Dworzec w Monfalcone pod Gorycyą, zburzony pociskami artyleryi włoskiej.



Wojna w powietrzu: Nowy typ austryackiego samolotu, używanego zwłaszcza na włoskim froncie.

atakami masowymi. Cały front na Karście przemienił się w jedną jedyną linię płomienia. Dzień i noc szły naprzód gęsto zbite kolumny piechoty. — Do każdego nowego wysiłku wdarcia się wysyłali Włosi zupełnie świeże dywizye. Gdy zaś w tym szalonym biegu do szturmu od czasu do czasu zaszła krótka przerwa, wówczas wybuchał ponad austro-węgierskimi rowami ogień działowy, wzmożony do najwyższych granic. Obrońcy dokazywali wprost nadludzkich rzeczy, odrzucając jedną dywizyę za drugą. Kolbami i bagnetami wyrzucano z pierwszej linii szturmujących nieprzyjaciół, którzy, jak roje szarańczy, cisnęli się poprzez stargane, zestrzelane zasieki druciane. Mimo wszystkie nieprzyjacielskie wysiłki, oparł się front przemożnemu ciosowi.

Nowe stanowiska armi austro węgierskiej po zajęciu Gorycyi przez Włochów okazały się jeszcze zdatniejszemi do oporu i silniejszemi strategicznie. Poprzednio konieczność trzymania w swem ręku ważnej dla obrony Gorycyi Monte San Michele, dawała Włochom sposobność ostrzeliwania i atakowania z flanki stanowiska austro-węgierskiego tak, że utrzymanie frontu, biegnącego różnorodnymi łukami, w każdym razie połączone było z silnemi stratami.

Nowe ustawienie na zachodnim skraju wzgórzy pod Gorycyą i na płaskowyżu Komeńskim, zbliżające się do linii prostej, zmusiło Włochów do atakowania wszędzie czołowo i do zastąpienia sztuki taktycznej wielkiemi masami. Ponadto musieli na całej długości atakowanego frontu szturmować stanowiska na wzgórzach, chodziło bowiem o zdobybie wyskoków płaskowyżu Komeńskiego, obsadzonych przez wojska austro-węgierskie, sama zaś płaszczyzna płaskowyżu wznosi się ku wschodowi, tak, że Włosi tam nawet, gdzie już usadowili się na skraju płaskowyżu, jak koło Łokwicy i Opatjego Seła, musieli atakować pod górę.

Często stwierdzone w tej wojnie doświadczenie, że w takich stosunkach olbrzymia siła odporna nowoczesnych dział i karabinów nawet wielką przewagę liczebną utrzymać może w szachu, doznała na nowo potwierdzenia w czasie siódmej bitwy nad Soczą. Piechotę włoską, wysłaną do ataku na front Karstu, szerokości dziewięciu kilometrów zaledwie, szacować należy conajmniej na 175.000 ludzi. Liczba artyleryi włoskiej, ustawionej półkolem na równinie oraz na stokach płaskowyżu Doberdo, szła, jak to się dziać zwykło przy wszystkich większych działaniach wojennych włoskich, w tysiące. Mimo to w czterodniowej, nadzwyczajnie zaciętej bitwie, osiągnięto tak mało, że kierownictwo wojsk włoskich musiało się zdecydować na chwilowe przerwanie bitwy i na wprowadzenie przynajmniej dłuższej pauzy dla odrestaurowania wojsk. Zdobycie Gorycyi nie przyniosło zatem Włochom żadnej realnej korzyści, bo postawiło ich armię wobec jeszcze większych, niż poprzednio, trudności terenowych i strategicznych.

Wojna w powietrzu.

Dawniejsze wojny rozgrywały się na lądzie i wodzie, obecnie tocząca się zagarnęła pod swą władzę i powietrze. Obok balonów rozmaitych systemów posługują się armie walczące i aeroplanami, które też ciągle bywają ulepszane, tak, że można powiedzieć, iż doprowadzono je już prawie do zupełnej doskonałości.

Aeroplan oddaje armii nieocenione przysługi. Używa się go przedewszystkiem do celów obserwacyjnych, poza tem sieje on spustoszenia w szeregach nieprzyjacielskich, obrzucając je ze znacznej wysokości pociskami różnego kalibru. — Każda ze stron wojujących rozporządza też sporą liczbą aeroplanów, których eskadry wysyła od czasu do czasu na terytoryum nieprzyjacielskie. — Jak dotąd, naj





Legiony w ostatnich walkach: W marszu na nową pozycyę. (Fot. Langier, C B. W — N. K. N.)



Legiony w ostatnich walkach: Kawalerya w pochodzie na nową pozycyę
(Fot. Langier, C. B. W — N. K. N.)



Z południowego frontu: Bułgarski oddział karabinów maszynowych na pozycyi w Dobrudży.

sprawniejszą okazała się marynarka powietrzna niemiecka, a i austryacka dzielnie jej sekunkuje, operując, zwłaszcza na froncie południowo-zachodnim, z bardzo dodatnim skutkiem. Niema tygodnia, aby eskadra austryackich hydroplanów nie odwiedziła Włoch i nie obrzuciła bombami ważnych objektów strategicznych, których setki już legły w gruzach.

Illustracye zamieszczone w niniejszym numerze przedstawiają nowy typ austryackiego aeroplanu wojennego, używanego zwłaszcza w walce z Włochami, oraz fotograficzne zdjęcia ruin miasta Ypern, sporządzone przez niemieckiego lotnika.

Legiony w ostatnich walkach.

Nie czas jeszcze na pisanie historyi Legionów polskich. Przyszłość dopiero należycie oceni te bohaterskie wysiłki polskiego żołnierza i jego krwawe ofiary. Dziś jednak każdy niemal dzień przynosi epizody tych walk, świecące przykładem niezwykłego



Wojna w powietrzu: Ruiny belgijskiego miasta Ypern. Zdjęcie dokonane przez niemieckiego lotnika.



Ze wschodniego frontu: Żołnierze bośniaccy przy obiedzie w rowie strzeleckim w Karpatach.

męstwa. Jeden z takich epizodów z ostatnich walk między Styrem a Stochodem opisuje „Ziemia Lubelska".

Kompania dwunasta szóstego pułku Legionów — czytamy tam — opuściła wieś i maszerowała ku miejscswości G. Stanowiliśmy arjergardę odwrotu: szliśmy ostatni z naszych wojsk, za nami już tylko Rosyanie. Przed nami powlokły się całe kolumny trenowe, przemaszerowały oddziały różnego rodzaju broni, artylerya, piechota, część kawaleryi. Nam przypadł obowiązek kryć tyły linii odwrotowej, powstrzymać napór jazdy rosyjskiej, która ostro ścigając była ciągle tuż, tuż, za nami.

Przechodzić mieliśmy przez długą, otwartą, w części bagnistą równinę, na której ani drzew, ani żadnej innej zasłony nie było. Za równiną majaczyły wzgórza, które dać już mogły pewien punkt oparcia i ochronę. Komendant kompanii, por. Rückemann Wilhelm nakazał szczególną ostrożność. Przyspieszyliśmy kroku, aby przejść szybko przez mostek wzniesiony przez rzeczkę wijącą się w poprzek równiny.



Z południowego frontu: Żołnierze bułgarscy w Macedonii zajęci w wolnych chwilach uprawą ziemi.



Legiony w ostatnich walkach: Placówka.
(C. B. W. – N. K. N)

Zbliżyliśmy się do mostu na odległość kilkudziesięciu kroków, gdy w tem — na lewo od nas rozległy się na łące wrzaskliwe „hurra!"

Patrzymy... Cała sotnia kozacka w pełnym, rozpętanym galopie mknie wzdłuż rzeczki ku nam, aby zająć mostek i odciąć nam drogę odwrotu. Nigdy dotąd nie widziałem podobnej szarży kawaleryi. — Równa z początku ława jeźdźców poczęła się łamać, krzywić i wyginać. Lepsze konie wydzierały się naprzód, gorsze zostawały w tyle; wytworzyła się zygzakowata linia szarżujących. Zdawało się, że niema mocy, którąby rozpędzoną kawalerye powstrzymać zdołała. Błyskawicznie poczęła zmniejszać się odległość między nimi a nami. Na sześćset kroków od nas wznieśli okrzyk „hurra" — obecnie są już tylko o kroków czterysta. Ale i my nie próżnujemy. Wiedzieliśmy, co mamy robić...

Karabiny plunęły pociskami ze stali. Zakotłowało się wśród sotni kozackiej. Jeden z pierwszych pada komendant sotni, oficer siedzący na pięknym białym koniu z wyciągniętą do ataku szablą. — Osuwają się z koni poszczególni jeźdźcy. Przerażone rumaki z dzikiem rżeniem zawracają i uciekają z pola śmierci, a kompania nasza daje salwę po salwie, bez wypoczynku i wytchnienia. — Już niema zygzakowatej linii szarżujących. Są tylko oderwane grupki lub poszczególni jeźdźcy. Oszołomione zwierzęta — trwogą przejęci ludzie. Wał trupów. Konie całym swoim ciężarem waliły się na ziemię i wydawały ostatnie tchnienia z cichem rzężeniem. Na nich, obok nich, konwulsyjnie wyciągnięte zwłoki kozackie, w drgawkach przedśmiertnych palcami targające trawę. Resztki rozbitej sotni widzą, że nie dojdą, więc nawracają w dzikim popłochu. Kompania posyła im wciąż salwę za salwą. — Początkowe nerwowe trochę strzały przemieniły się w spokojną, miarową strzelaninę — jak na ćwiczeniach.

Trwała ta walka nie dłużej nad 20 minut i sotni kozackiej nie było. Przestała istnieć. Kompania mogła sobie pogratulować sukcesu. Był też na nas najwyższy czas, aby uporać się z kozakami z lewej strony, bo oto z prawej flanki i od tyłu nową pojawiła się kawalerya rosyjska. Zauważyliśmy ją na znaczną odległość. Legioniści, świeżem upojeni zwycięstwem, zwrócili ku nowemu wrogowi lufy karabinów. Poczęła padać stal ku pędzącym oddziałom. I ci do nas nie doszli. W odległości 500—600 kroków poczęli się cofać i pomknęli w tył, ku wsi, przez nas opuszczonej, spowitej we mgle.

Kompania mogła spokojnie posuwać się naprzód... Jest to zaledwie jeden z wielu epizodów, w jakie obfitowała bohaterska walka naszych Legionistów przy ostatniej zmianie pozycyi na froncie wschodnim.



Legiony w ostatnich walkach: Armatka 37 mm. na pozycyi. (C. B. W. — N. K. N.)

GEORGES MEIRS.

Tajemnica indyjskiego pierścienia.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

9

— Oto zapewne Marmont! — zauważył Tharps, zajmując dawne miejsce — Zapanuj nad zdenerwowaniem, Synhamie i nie bądź dla niego niegrzecznym.

— Nie lękaj się, Wiliamie! Jestem zupełnie spokojny! — odparłem, śmiejąc się.

Widziałem już raz Ludovica Marmont u Tharpsa i dotąd zachowałem wspomnienie tego niezapomnianego spotkania.

Teraz nawet uczuwałem pewne zadowolenie na myśl, że poraz drugi obecnym będę spotkaniu tych przeciwników, walczących tak zwycięzko dotąd ze sobą. Wiedziałem, że człowiek, który miał stanąć przed nami, był zręcznym i błyskotliwym światowcem, który umiał parować słowami, jak szermierz pierwszorzędny.

Upłynęło może jeszcze dwie minuty i drzwi skrzypnęły lekko, dając przejście oczekiwanemu przez nas gościowi.

Wszedł z pewną niedbałością, pozbawioną jednak wszelkiej arogancyi i pewności siebie i skłonił się przed nami uprzejmie. W całej postawie jego była godność i naturalna swoboda.

— Przyszedłem wytłumaczyć się przed wami! — wyrzekł spokojnie —. Sądzę, że przyjmiecie moje słowa tak, jak na to zasługują, bo nie mam najmniejszej chęci ubliżenia wam w czemkolwiek.

Tharps uśmiechnął się niedbale i powstał, aby mu podać krzesło.

— Dziękuję panu! — rzekł Marmont, kłaniając się lekko — Usiadł wygodnie i zapalił cygaro hawańskie, otaczając się kłębami wonnego dymu.

Ja zaś rzuciłem się w wysoki, obszerny fotel, obiecując sobie wiele ciekawych wrażeń z tej oryginalnej rozmowy.

— Jak długo myśli pan nas zatrzymywać tutaj? — przerwał milczenie Tharps takim tonem, jakgdyby znajdował się na przyjęciu w salonie znajomych.

— Mam nadzieję zwrócić panom wolność za jakie dwa lub trzy dni! — odparł Marmont — Powinienem z czasu tego wyciągnąć korzyść niemałą dla siebie, chybaby sam dyabeł usiłował przeszkodzić mi w tem.

Zaciągnął się silnie, śledząc z ciekawością błękitne kółka dymu wlokące się w powietrzu.

Tharps zaś, nie wypuszczając z ust papierosa, podszedł do okna i zatopił się w bacznem obserwowaniu ogrodu. Po chwili powrócił na środek pokoju, trzymając ręce w kieszeniach i mrużąc oczy przed gryzącym dymem, stanął w tej postawie naprzeciw swojego przeciwnika.

— Czy mam zrozumieć ze słów pana, że trafiłeś nareszcie na silniejszego od siebie? — zapytał ironicznie.

— Oh! Tak źle znowu nie jest! — zaprzeczył żywo Marmont — Przypuśćmy, że znalazłem...

— W Charttonnie? — podchwycił Tharps.

Marmont uśmiechnął się, potwierdzając domysł mojego przyjaciela skinieniem głowy.

— Przypuśćmy więc, że Chartton jest przeciwnikiem, z którym się liczyć trzeba, ale nic więcej. Zresztą okoliczności w tym wypadku szczególnie mu sprzyjały.

Te słowa Ludovica Marmonta obalały kompletnie cały mój sposób zapatrywania się na sprawę. Cóż to znowu było? Chartton, którego miałem za wspólnika tego człowieka, był teraz jego przeciwnikiem! A więc w takim razie, dlaczego nas, występujących przeciw Marmontowi, traktował jak nieprzyjaciół? Wszystko to stawało się dla mnie tak tajemniczem i niejasne, że nie wiedziałem zupełnie, co o tem sądzić.

Za to Wiliam Tharps zdawał się doskonale to pojmować. Wyraz jego twarzy stawał się coraz pogodniejszy i pewny siebie.

— No... a przedmiot? — zapytał.

Ludovic Marmont wybuchnął śmiechem.

— Fałszywy, mój kochany panie! Fałszywy najkompletniej! To bydle postarało się o wykonanie duplikatu łudząco podobnego! Oto wszystko!

— I ten duplikat zabrali pańscy ludzie?

— Tak jest! Sztuczka udała się doskonale!

Zacząłem już nie zwracać uwagi na rozmowę, z której nic zrozumieć nie mogłem, kiedy Ludovic Marmont zaczął nagle mówić o czem innem.

Dowiedzieliśmy się więc od niego, że sprawa „Donay“ narobiła wiele rozgłosu za granicą. Pani Schoetten, żona niemieckiego profesora, czytając raz dzienniki, napotkała artykuł, w którym donoszono o miejscu pobytu jej męża, który wyjechał nagle, nie uprzedziwszy jej nawet.

Profesor, jak większa część uczonych, roztargniony był i dziwne miał przyzwyczajenia. Jednego dnia opuścił dom swój, nie uznając za potrzebne poinformować domowników, dokąd się udaje. Od tego czasu nie pokazał się więcej. Po upływie trzech dni, pani Schotten, zaniepokojona, poczęła robić poszukiwania za zaginionym mężem. Nawet policyę zawezwała do pomocy, ale bezskutecznie. Dopiero wzmianka wyczytana w dziennikach niemieckich, opiewająca o zbrodni popełnionej w Saint-Mandé, rzuciła pewne światło na nagłe zniknięcie uczonego.

Ludovic Marmont pozostał jeszcze jakiś czas z nami, żartując na temat awantury, która dotknęła profesora, rozmawiając z nami ze swobodą i dobrem wychowaniem typowego światowca.

— A co się stało z towarzyszem naszym, Jamesem Huxley? — zapytałem go.

— Odprowadzony został do swojego mieszkania i obudził się w własnem łóżku! — odpowiedział, śmiejąc się Marmont.

— Uczynił nam pan miłą niespodziankę, przysyłając śniadanie, trafiające do naszych upodobań! — rzekłem jeszcze w chwili, kiedy nasz oryginalny gospodarz powstawał z krzesła, zabierając się już do odejścia.

— Uczyniłem tylko to, co było moim obowiązkiem! — odparł uprzejmie — Przyjemnie jest mi usłyszeć, że śniadanie było podane według gustów panów.

— Ale skądże pan mógł wiedzieć o naszych gustach? — zapytał Tharps — Przecież, o ile sobie przypominam, nie zasiadaliśmy jeszcze nigdy razem do śniadania.

Marmont uśmiechnął się tajemniczo.

— To już jest moja rzecz! — odparł krótko — Co zaś do korespondencyi panów, wydałem stosowne rozkazy, aby ją niezwłocznie doręczono. Zdaje mi się, że właśnie ją przynoszą. Pożegnam zatem panów. Sądzę, że z przyjemnością przejrzycie wasze listy.

W chwili, kiedy Marmont żegnał się z nami, wszedł służący, niosąc na tacy pocztę poranną. Pomiędzy listami i telegramami, przyniesionymi dla Wiliama Tharpsa, znajdowała się pneumatyczna depesza, pochodząca z dyrekcyi policyi i zawierała dalsze relacye śledztwa. Pan Dumont donosił mojemu przyjacielowi o aresztowaniu profesora Schoettena. Zachowanie się jego było tak dziwnem i nienaturalnem, iż obawiano się, czy nie dostał on pomieszania zmysłów. Poza tem pan Dumont prosił Tharpsa, aby się postarał bezzwłocznie z nim zobaczyć i dziwił się, dlaczego go nie było w nocy w domu w chwili, kiedy go wzywał do telefonu.

Wiliam Tharps wzruszył lekko ramionami i włożył depeszę do kieszeni.

Rozmawialiśmy teraz przyciszonymi głosami ze względu na zdradzieckie mikrofony umieszczone w ścianie. Poznałem prędko, że Tharps, chociaż starał się panować nad sobą, zdenerwowany był i cierpiał nad tą przymusową bezczynnością. Ani śniadanie wybredne i posilne, podane nam w południe, któremu towarzyszyły najlepsze cygara, ani nadzwyczajna marka likierów danych do naszej dyspozycyi przy czarnej kawie — nie potrafiły go wyrwać z przygnębienia, w jakie zapadał.

Przed wieczorem gospodarz nasz odwiedził nas po raz drugi.

— Nie będę panów już dłużej zatrzymywał u siebie — rzekł ku wielkiemu zadowoleniu mojego przyjaciela — Po obiedzie będziecie wolni i każe was odprowadzić do siebie.

— Oto mądre słowa — zaśmiał się Tharps.

— Muszę jeszcze panu podziękować, panie Tharps — dodał Marmont — za taktowne zachowanie się pana, podczas tego przymusowego uwięzienia, na które pan wcale nie reagował i nie starał się skrócić. Ta gościnność, udzielona panom, była mi bardzo potrzebną.

— Nie mogłem inaczej postąpić — odparł grzecznie mój przyjaciel — bo wiedziałem, że wszelkie usiłowania, aby się stąd wydostać przed czasem, wyznaczonym przez pana, będą bezowocne.

— Ale zechce pan jeszcze zasiąść tu do obiadu w towarzystwie swojego przyjaciela — nalegał proszącо Marmont — Uczyni mi pan tem wielką przyjemność.

— Oh! Jeżeli rzeczywiście tak panu na tem zależy — odparł niedbale Tharps — godzina lub dwie nie stanowią dla mnie tak wielkiej różnicy... Co się odwlecze, to nie uciecze, panie Marmont.

— Czuję się bardzo zadowolonym z dobrego usposobienia pana. Gościć takiego przeciwnika u siebie jest prawdziwą rozkoszą dla mnie. Żegnam panów, a właściwie do widzenia, bo mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze w życiu.

— Nie wątpię o tem, panie Marmont — rzekł dobitnie Tharps — odprowadzając naszego gospodarza do drzwi.

Miałem w życiu niejedną sposobność zasiadania do stołu w domu ludzi należących do najlepszej i najbogatszej sfery towarzystwa — ale nigdzie jeszcze nie spotkałem się z takim przepychem, z jakim wystąpił, chcąc uhonorować nas należycie — ten wspaniały król awanturników!

Byliśmy poprostu olśnieni.

Tak samo, jak rano, znalazłem przy łóżku przygotowane moje wieczorowe ubranie i wszystkie potrzebne mi drobiazgi tualetowe. Stylowo ubrany lokaj o pańskich ruchach i poważnej twarzy, przyszedł ofiarować mi swoją wytworną pomoc.

Kiedy ujrzałem w pokoju ubranie moje i bieliznę, zręcznie przygotowaną na stołku — nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób dostać się tu mogły. Znałem dobrze mojego służącego i wiedziałem, że nie łatwo da się podejść i w pole wyprowadzić. Lokaj zaś Tharpsa był prawdziwym unikatem, godnym służenia takiemu niezwykłemu panu, jakim był mój przyjaciel. W jakiż więc sposób Ludovic Marmont mógł uśpić czujność tych dwóch oddanych nam ludzi i zabrać rzeczy z naszych mieszkań? Ubierałem się, łamiąc sobie głowę nad tym niewyjaśnionym problemem — ale kiedy zasiedliśmy do obiadu — myśli moje zwróciły się natychmiast w inną stronę.

Podnosiłem co chwila wzrok mój od tej wspaniałej, ksiżącej zastawy, od półmisków złoconych i błyszczących, jak najwspanialsze dyamenty, kryształów, od bukietów, umieszczonych w starożytnych, smukłych wazonach, na spokojną twarz Wiliama, pytając się, czy śnię, czy też to naprawdę rzeczywistość. Tharps uśmiechał się tylko, spoglądając od czasu do czasu na zegarek. — Dobór potraw lekkich a wykwintnych zdradzał dobry gust i niezaprzeczone znawstwo kulinarne naszego gospodarza. Wina były jak najlepszej marki; wspaniałe owoce, artystycznie umieszczone w srebrnych koszykach, nęciły różnorodną swą barwą i delikatnym zapachem. Ludovic Marmont, znany awanturnik światowy, umiał podejmować swoich gości.

Zdumienie było nadzwyczajne, kiedy wieczorem przywieziono nas zupełnie pozbawionych czucia i przytomności. Ludzie, którzy nas przywieźli, nie odpowiadając na żadne zapytania, pomogli do ułożenia nas do łóżek — i oddalili się.

Od mojego służącego dowiedziałem się, że w dzień poprzedni rano przyszedł do mojego mieszkania posłaniec z listem. List ten miał pochodzić odemnie. Służba doskonale rozpoznała moje pismo. W liście tym kazałem oddawcy wręczyć walizę z ubraniem i bielizną potrzebną. Służący mój wypełnił skrupulatnie ten rozkaz i nie zdziwił się bynajmniej, widząc mnie powracającego do domu w wieczorowym ubraniu.

Nie uważałem za stosowne wyprowadzić go z błędu, ale w duchu podziwiałem niezwykłą zręczność i przytomność umysłu Ludovica Marmonta i szczególny jego dar naśladowania mojego pisma.

Zjadłszy śniadanie, udałem się natychmiast do mojego przyjaciela.

— A co? Mój kochany — przywitał mnie z progu — to bajka z tysiąca i jednej nocy, nieprawdaż? Ładnego nam figla spłatał ten Marmont! Co za pomysłowość i dowcip. Ceniłem go zawsze za jego niecodzienne zalety, ale to, co teraz z nami uczynił, przechodzi wszelkie moje oczekiwanie! Dzielny człowiek, niema co mówić!

Mówiąc to Tharps śmiał się serdecznie.

— Nie rozumiem, Wiliamie, jak możesz być tak wesołym i brać tak lekko tę porażkę — rzekłem dotknięty jego dobrym humorem.

— Ty to bierzesz za porażkę? — zdziwił się szczerze — Skądże ci to do głowy przyszło? Ja nic podobnego w tem nie widzę.

— Czyż nie byliśmy więźniami Ludovica Marmont i czy nie pozostaliśmy u niego, dokąd się mu podobało?

— Oczywiście. Ale ten krótki nasz pobyt u niego, o ile wiem, nie wiele dopomógł jego sprawie. I jeżeli nas tak wcześnie wypuścił ze swojej opieki, to dla tej przyczyny, że w dalszem przytrzymywaniu nas nie widział dla siebie żadnych korzyści.

— Zkąd jesteś tak dobrze poinformowany?

Wiliam przez chwilę szukał czegoś na biurku, w końcu podał mi ćwiartkę papieru, zapisaną drobnem, gęstem pismem i rzekł:

— Oto raport Asselina! Przejrzyj go z łaski swojej i powiedz mi, jak ci się podoba.

— Asselina!? A cóż to znowu za jeden? Nie mówiłeś mi dotąd o nim.

— Asselin, to ten człowiek, co przedwczoraj przystąpił do mnie na ulicy, kiedy szedłem z tobą. Przypominasz sobie przecież ten moment?

— Tak.

— A więc ten Asselin zdradził przedemną prawdziwą działalność tego pseudo-Charttona.

— A to ciekawe!

— Rzeczywiście, bardzo ciekawe. Pozwól, przeczytam ci głośno ten raport, bo dopełnić go muszę kilkoma uwagami.

Z raportu tego dowiedziałem się, jak również z komentarzy Tharpsa, że pierścień indyjski, który pan d'Orwald miał na palcu w chwili swojej śmierci, był tylko zręcznie podrobionym duplikatem prawdziwego pierścienia, należącego do zbioru jenerała Shurtey'a.

Podczas włamania, dokonanego przez bandę Marmonta w mieszkaniu jenerała — sławny awanturnik znalazł w kasie ogniotrwałej stary pergamin, na którym spisane były w języku sanskryckim dzieje owego sławnego pierścienia.

Pieczątka tej osobliwej indyjskiej pamiątki przedstawiać miała wizerunek bożka Siwy i ktokolwiek ją posiadał, mógł wywierać na współwyznawców sekty wpływ bezgraniczny i był panem ich życia. Pozatem, ten, który „równocześnie“ był w posiadaniu tego pergaminu, będącego teraz w rękach Ludovica Marmont, stawał się prawnym posiadaczem skarbu Siwa. Do odebrania tego skarbu wystarczało okazanie tych dwóch cennych przedmiotów.

— A ten skarb? — zapytałem, kiedy Tharps przestał czytać.

— Ten skarb jest wielkiej wartości — odpowiedział mój przyjaciel.

— Ale jak ty doszedłeś do tych wszystkich szczegółów.

— Dziś w nocy, kiedy ty już spałeś w najlepsze, był u mnie Marmont. Opowiedział mi, w jaki sposób major Shurtey stał się posiadaczem skrzynki z pergaminem i pierścienia. Dostał on je od szefa Braminów, któremu uratował życie i uszanował wierzenia. Fakt ten major Shurtey opisał w swoich notatkach. Depozyt ten miał pozostać w jego rękach aż do chwili, w której się zjawi po niego wysłany emisaryusz hinduski. — Słuchaj dalej.

Szef Braminów chciał w ten sposób zabezpieczyć pierścień święty od profanacyi i nie widział lepszego wyjścia, jak powierzyć go oficerowi angielskiemu, który uchronił świątynię od zniszczenia. Jednakże nic nie wspomniał mu o istnieniu pergaminu ukrytego w podwójnym dnie skrzynki, ani o strasznej potędze tego talizmanu, którego czynił go depozytorem.

Tarps przerwał czytanie, aby zapalić papierosa. Skorzystałem z tej przerwy, aby mu zadać pytanie, które od chwili nie dawało mi spokoju.

— Powiedziałeś mi, Wiliamie, że dowiedziałeś się tych wszystkich szczegółów dzisiejszej nocy od Ludovica Marmonta, nieprawdaż?

— Tak. Podczas kiedy ty spałeś już.

— Doskonale. Zdaje mi się jednak, że i ty spać musiałeś... więc jakże.

— Człowieku małej wiary! — zaśmiał się Tharps — Dowiedz się, że spałem, bo zgodziłem się wypić narkotyk, podany mi przez naszego gospodarza, dopiero po wytłumaczeniu mi tej sprawy. Wiesz dobrze, że ten narkotyk był warunkiem naszej natychmiastowej wolności.

— Ale dlaczego ta różnica w postępowaniu z nami obydwoma?

Tharps śmiał się coraz głośniej.

— Tylko dlatego, że nie chciałem dotknąć się tej doskonałej herbaty, której ty łakomie wypiłeś aż trzy duże filiżanki. Rozumiesz teraz? Ale teraz powróćmy do dalszych wyjaśnień. Ludowik Marmont za późno już spostrzegł się, że został oszukany, że pierścień, skradziony gościowi pani Donay, nie był tym, za którym gonił tak zaciekle. Ale natomiast dowiedział się doskonale, gdzie szukać go należy. Poświęcił więc wszystkie siły swoje i taktykę, aby go pochwycić do ręki.

— Ten pierścień prawdziwy znajdował się u Charttona, nieprawdaż? — przerwałem żywo.

Wiliam Tharps przytaknął mi ruchem głowy.

Marmont odtąd uczynił gorliwy pościg za Charttonem, posiadaczem indyjskiego pierścienia.

Ten fakt wyjaśniał nam doskonale gorliwość protegowanego Huxleya, by nas naprowadzić na ślad zręcznego awanturnika i zarazem przyczynę, dla której Chartton nie zjawił się w kawiarni pod „Czerwonym Królikiem“, gdyż tam znajdował się właśnie wówczas Marmont.

Wiliam twierdził, że nasz wczorajszy gospodarz zapóźno przybył do schroniska, w którem przebywał markiz da Santa Cruza i Chartton i gdzieśmy się wszyscy nie spodziewając tego zeszli. Był również przekonania, że Marmont zagubił całkiem ślad ściganych, a nie widząc innego sposobu odnalezienia ich, zdecydował się na wypuszczenie nas na wolność, spodziewając się, że idąc naszymi śladami, łatwiej sam trafi do tamtych.

— Marmont sądzi więc, że ty wiesz, gdzie się ukrywa Chartton i jego wspólnik markiz da Santa-Cruza.

— Tak przynajmniej przypuszczam. Świadczy to jednak dobrze o jego zmyśle spostrzegawczym.

— Więc ty naprawdę wiesz coś o nich, Wiliamie? — zapytałem z ciekawością.

Tharps nic mi nie odpowiedział, tylko podał raport, przysłany przez Asselina.

Przebiegłem go gorączkowo.

Treść tego raportu przekonała mnie, że Tharps nie chwalił się, twierdząc, że znaną mu jest rola, jaką Chartton odegrał wobec nas. Wiedział o tem od pierwszej chwili poznania go i dla tej przyczyny Asselin, na jego rozkaz, śledził każdy krok naszego nowego współpracownika.

Szedł więc za nami w pewnej odległości, owej, historycznej nocy, widział dwa uciekające cienie, z których w jednym z nich rozpoznał Charttona — lecz nie podszedł do nas i nie pospieszył z pomocą, gdyż nie przypuszczał, abyśmy jej potrzebowali.

Te dwa cienie, któreśmy ujrzeli w oświetlonem oknie i które znikły na nasz widok, to były sylwetki Charttona i markiza hiszpańskiego.

Raport Asselina kończył się zapowiedzią swoich odwiedzin jeszcze tego samego dnia, rano.

Nie mieliśmy więc nic innego na razie do czynienia, jak oczekiwać go cierpliwie, tego przynajmniej byłem zdania. Ale ku mojemu zdziwieniu spostrzegłem, że Tharps zabiera się do odejścia.

— Pocóż ty teraz wychodzisz, Wiliamie — zapytałem go — skoro Asselin może nadejść lada chwila.

— Nie chcę właśnie dopuścić, aby on przychodził do mnie. Marmont może go śledzić i za jego śladem idąc odkryć kryjówkę Charttona. Tego chcę uniknąć za wszelką cenę.

— Cóż więc uczynić zamierzasz?

— Zatelefonuję natychmiast do Asselina i każę mu się stawić w biurze dyrekcyi policyi. Tam będę mógł się z nim rozmówić swobodnie, nie obawiając się podsłuchania lub podpatrzenia. Może zechcesz pójść ze mną. Zobaczymy się równocześnie z panem Dumont, który bardzo niecierpliwić się musi.

Wyszedłem więc z nim razem i wkrótce znaleźliśmy się w biurze dyrektora policyi.

Pan Dumont był bardzo zdenerwowany i niespokojny.

— Ah! Panie Tharps! — zawołał ujrzawszy mojego przyjaciela — Nareszcie pana widzę! Jestem zupełnie zrozpaczony! Sprawa nie postąpiła ani krok naprzód! Może pan ma jakie wiadomości?

— Niech się pan uspokoi, panie Dumont — odparł śmiejąc się Tharps — Nie jest tak źle, jak pan sądzi. Mam nadzieję, że w najbliższych dniach ujrzymy szczęśliwie rezultaty naszych poszukiwań.

— Ah! Doprawdy! Ciężar mi spadł z serca. Ale, kochany panie, czy jest pan zupełnie pewny? Czy nie łudzi się pan jakiemiś pozorami?

— Nie, panie Dumont, nie łudzę się — odparł poważnie Tarps. — Pan wie, że w takich razach żartować nie lubię.

W tej chwili do biura dyrektora wszedł policyant, oznajmiając, że jakiś pan pragnie mówić z panem Tharpsem.

Pożegnaliśmy uspokojonego już pana Dumont i wyszliśmy na korytarz. Asselin już tam czekał. Tharps szybko pociągnął go w jakiś kąt zaciemniony i krótką chwilę z nim rozmawiał.

Słyszałem tylko, jak Tharps, podając mu rękę, rzekł:

— Więc liczę z wszelką pewnością na pana, panie Asselin! Wiele pan potrzebuje na to czasu?

— Będę z powrotem koło południa — odpowiedział ajent, poczem oddalił się, nie zauważywszy mnie nawet.

Pogoda tego dnia była prześliczna. Kiedyśmy wyszli z gmachu dyrekcyi policyi, Tharps przystanął na chwilę na chodniku i rozejrzał się wokoło, z przyjemnością wdychając ożywcze powietrze.

— Możebyśmy się przejechali trochę po lasku bulońskim, Synhamie? — zaproponował — Potrzebuję wypocząć trochę i rozerwać się.

— Z największą przyjemnością. Spacer taki będzie zbawienny dla nas, po wzruszeniach nocy ubiegłej.

Tharps gwizdnął na przejeżdżającą dorożkę i kazał nas wieźć w stronę lasku.

Po dwugodzinnej przejażdżce, która łagodząco podziałała na nerwy nasze i osłabienie spowodowane narkotykiem, którym uraczył nas Marmont — wstąpiliśmy do jednej restauracyi, znajdującej się tuż przy skwerze.

Zaledwie jednak weszliśmy do sali, zauważyłem, że byliśmy śledzeni. Ujrzałem bowiem w lustrze, zdobiącem ścianę, człowieka bardzo starannie ubranego, siedzącego przy stoliku w głębi i rozmawiającego z ożywieniem z drugim jakimś nieznajomym, który już od chwili towarzyszył nam skrycie.

Zdawało mi się, że Tharps nie spostrzegł tego, bo był w doskonałym humorze i z zadowoleniem wspominał odbytą po lasku przejażdżkę, zajadając podane potrawy z wilczym apetytem.

Ale po chwili zrozumiałem, że to nowa jego taktyka, bo spojrzenie raz po raz biegło ostrożnie po sali, a szczególniej do stołu, gdzie w dalszym ciągu rozmawiali dwaj nieznajomi.

Po skończonym obiedzie, zapalił cygaro i jeszcze raz pociągnął mnie na przechadzkę w stronę lasku bulońskiego — tym razem jednak pieszo.

Po godzinie powróciliśmy do miasta i Tharps zawołał na przejeżdżającą dorożkę, do której wsadził mnie przemocą, choć się temu opierałem.

— Dlaczego nie chcesz pieszo powrócić do domu? — broniłem się — Mieszkasz przecież niedaleko!

— Bo nie mam wcale zamiaru powracać do domu. — odparł śmiejąc się — Chcę jeszcze pomówić z komisarzem, który prowadzi całą naszą sprawę. Muszę go poprosić o wyswiadczenie mi pewnej grzeczności.

Udaliśmy się więc do dyrekcyi policyi, gdzie nie zabawiliśmy długo.

Wychodząc z kancelaryi komisarza, Tharps pokazał mi, uśmiechając się z zadowoleniem, rozkaz wypuszczenia na wolność profesora Schoettena.

— Jakże zdołałeś wyrwać od niego to pozwolenie? — zapytałem zdziwiony.

— Ah! Mój kochany, to długa historya. Dosyć, że ją mam i wykorzystam natychmiast. Stary dziwak za pół godziny będzie wypuszczony na wolność. Teraz wracajmy do domu.

Po drodze Tharps rozczulał się nad losem biednego profesora, którego tak nieprzyjemna i śmieszna rzecz spotkała.

— Wyobrażam sobie, jak irytować się musi i złorzeczyć na władze francuskie. — mówił śmiejąc się serdecznie.

Kiedy nareszcie znaleźliśmy się w jego gabinecie, Tharps spiesznie podszedł do telefonu i zażądał komunikacyi z centralnym gmachem policyi.

Poznałem, że rozmawia z Asselinem i to, co ajent mu donosił, musiało być bardzo interesujące, bo twarz jego wyrażała wielkie zadowolenie, a nawet w końcu i zdumienie.

Słyszałem, jak w jednej chwili zawołał:

— A to kanalia! Nie brakuje mu odwagi przynajmniej. Ale czy jesteś pan pewnym, że to nie nowa pułapka? Należy działać ostrożnie!

Słuchał jakiś czas w milczeniu danej mu przez ajenta odpowiedzi i odezwał się znowu:

— Dobrze, dobrze. W takim razie to doskonale! Nie mam temu nic do zarzucenia! Najważniejsze jest, że jak tam raz wejdzie, odciąć mu wszelką możliwość odwrotu i zmusić go do pokazania się.

— Tak też uczynię — brzmiała odpowiedź.

Następnych jednak słów dosłyszeć nie mogłem.

— Tak, tak, oczywiście... powróci do dawnej roli, bo sądzić będzie, że tym sposobem wydostanie się z matni. A pan postaraj się do tego czasu o mandat aresztowania. Nie trzeba, żeby Cornet zdmuchnął panu z pod nosa tak doskonałą sposobność...

Chciał już zawiesić słuchawkę, ale rozmyślił się.

— Hallo! Hallo!

Cień niezadowolenia przeszedł po jego twarzy, sądząc, że komunikacya przerwaną została. Ale na szczęście Asselin był jeszcze przy aparacie i odpowiadał na jego wołanie.

— Sądzę, że byłoby lepiej, gdybyś pan sam poszedł po niego i tam go przyprowadził. Co? Co pan, mówi? Ale tak, Schoetten! A o kimże pan myśli? Tak, tak, z wszelką pewnością.. wydadzą go. Sędzia przed chwilą podpisał w moich oczach akt uwolnienia.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z sali koncertowej.

Publiczność nasza wobec nowych nazwisk na afiszu koncertowym zachowuje się zawsze nieufnie. Nie chce zaryzykować kilku koron, by osobiście przekonać się, czy rzeczywistość odpowiada reklamie, choć w tylu razach już okazało się, że to, co urządza Dyrekcya koncertów krakowskich, którą tak artystycznie prowadzi p. Trzciński, stoi z pewnością na wyżynie wymagań najsubtelniejszych. Nie zbyt licznych słuchaczy zgromadził też koncert nieznanej skrzypaczki p. Edyty Voigtlaender, choć rekomendo-



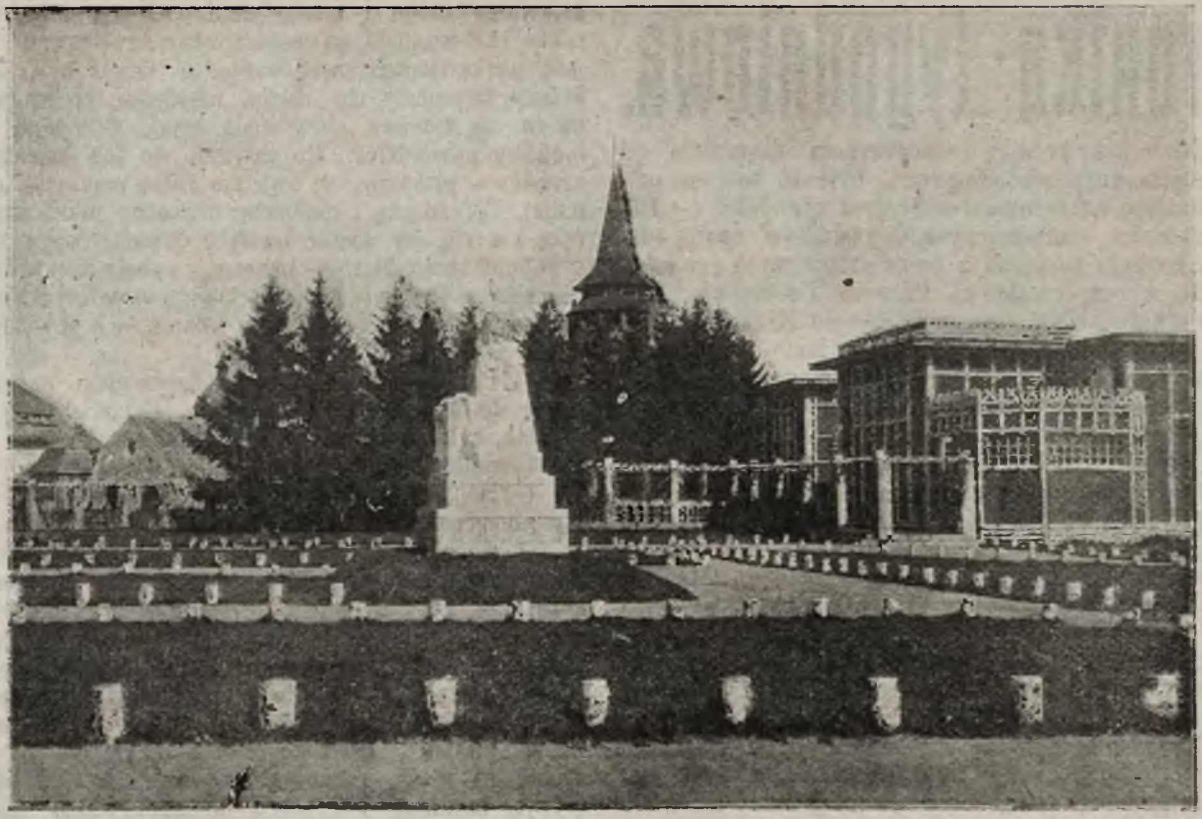
Z sali koncertowej: Edyta Voigtlaender

wały ją entuzyastyczne głosy prasy zagranicznej. Obecni na koncercie ryzykanci wyszli jeszcze raz mile rozczarowani.

Sympatyczna skrzypaczka ujmuje słuchacza przedewszystkiem wielką prostotą i brakiem wszelkiej pozy, połączonymi z jakiemś uroczystem namaszczeniem, z którem sztukę swą „celebruje". Wydaje się, że nie należy tu doszukiwać wpływu szkoły Joachima, ale raczej naturalne dane artystki, traktującej muzykę jako kulturalne posłannictwo.

Te zresztą piękne zalety nie mogłyby jednak jeszcze wprawiać słuchaczy w entuzyazm taki, jaki widzieliśmy w „Sokole" w niedzielę, gdyby nie były poparte techniczną umiejętnością niepospolitą, wspaniałym, głębokim tonem, wysoką kulturą i poczuciem stylu klasycznego. Dzieła Mozarta i Bacha w wykonaniu p. Voigtlaender były też prawdziwą biesiadą artystyczną i zadecydowały o powodzeniu młodej artystki. Nasz kapelmistrz teatru ludowego p. Rudnicki przekonał przy tej sposobności wszystkich swoim akompaniamentem, że jest w tym kierunku bezwarunkowo pierwszą siłą na gruncie krakowskim.

P. Voigtlaender będzie odtąd zawsze mile widzianym gościem w Krakowie, a drugi jej koncert zapowiedziany zgromadzi niewątpliwie już tłumy słuchaczy.



Wystawa wojenna we Lwowie: Pomnik zdobywcy Lwowa, jenerała Böhm-Ermolli'ego. (Fot. M. Münz, Lwów).

Ze wschodniego frontu.

Jak już zaznaczaliśmy niejednokrotnie, główną cechą armii rosyjskiej jest... upór. Pomimo klęsk i niepowodzeń co jakiś czas rozpoczynają Rosyanie ofenzywę, aby przekonać się, że prócz strat, nic im ona w zysku nie przyniosła.

Tak się stało i z ostatnią ofenzywą rosyjską... Ani we Wschodniej Galicyi, ani na Wołyniu, ani w Karpatach nie odnieśli Rosyanie oczekiwanych sukcesów, o czem najlepiej świadczą ich... dalsze zapowiedzi... Jak donoszą do pism angielskich z Petersburga, półurzędowe odezwy obwieszczają, że dopiero na wiosnę roku przyszłego armia rosyjska będzie zupełnie gotową do rozpoczęcia nowej ofenzywy...

Ta pociecha najlepiej świadczy, że obecna ofenzywa rosyjska spaliła na panewce.



Legiony w ostatnich walkach: Obóz oddziału karabinów maszynowych. (X) Por. Siczek. (C. B. W. — N. K. N.)

Kronika tygodniowa.

Niniejszą kronikę rozpoczynam naturalnie od pęknięcia rury wodociągowej, było to bowiem najważniejsze zdarzenie w ubiegłym tygodniu. — Dla wiadomości zamiejscowych Czytelników muszę dodać, że była to jedna z najpoważniejszych rur miejskich, a rezydowała na Półwsiu Zwierzynieckiem, którędy dochodzi woda z Bielan do Krakowa. Dotąd leżała ona sobie spokojnie w łonie matki-ziemi, prawdopodobnie od chwili, gdy zaprowadzono w mieście wodociągi, ostatecznie sprzykrzyło jej się to leżenie i postanowiła ujrzeć światło dzienne. Prosiła więc raz i drugi, by ją przeniesiono w dobrze zasłużony stan spoczynku i wyznaczono jakietakie zaopatrzenie na starość, gdy się jednak przekonała, że prośby jej nie odnoszą skutku, nie pozostawało jej nic innego, jak pęknąć.

Była to przecież rura bardzo lojalna, znajdowała się bowiem w najbliższem sąsiedztwie budynku, w którym się mieści Zarząd wodociągów, a zarazem pogotowie, wymieniające pęknięte rury. I to się jej chwali.

Kraków znalazł się więc nagle bez wody, nasze panie gospodynie nie robiły bowiem w tym kierunku zapasów na „suchą" godzinę, miały też wiele kłopotu, skąd wziąć wilgotności do picia, mycia, prania i gotowania. Moja Weronisia była najbardziej zmartwiona, gdyż na sobotę przygotowała właśnie początek wielkiego prania, które wobec tego musiało zostać odłożone na następny tydzień, co, jak sama twierdzi, zepsuło jej repertuar całomiesięczny, już z góry ułożony. Pijacy narzekali także z powodu braku wody, gdyż wpłynął on bardzo ujemnie na krajową produkcyę oryginalnych win węgierskich i przyczynił się do podskoczenia ich cen, płakali oczywista i eleuterzycy, gdyż brakło im ich ulubionego trunku. Deszcz padał wprawdzie i to po kilka razy dziennie, ale deszczówką pragnienia nikt nie ugasi.

Na temat owego pęknięcia zaczęto snuć rozmaite przypuszczenia. Byli tacy, którzy twierdzili, że stoi ono w ścisłym związku z owym księżycem, który niedawno świecił nam w samo południe i należy do owych nadprzyrodzonych znaków, zwiastujących zbliżanie się końca świata. Jedna z obywatelek Zwierzyńca widziała nawet na swoje własne oczy Antychrysta (w narzeczu ludowem: Ancykrys), jadącego na wozie ognistym i z tego wnosi, że lada dzień będzie ze światem klapa, a tem samem i z nami, ale też wówczas skończy się i wojna.

Inni, którzy, przechodząc koło pałacu Larysza, odwracają oczy w przeciwną stronę, byli zdania, że jest to jedna z plag egipskich, które mają spaść na Kraków, jako kara za uchwalenie przez Radę miejską owych emerytur i zapowiadają na najbliższą przyszłość cały szereg podobnych katastrof, nawołując naród do kajania się, bicia w piersi i czynienia pokuty. Ba, ale czy to chce kto słuchać dobrej rady?... Pokutnicy powinni chodzić boso, a tymczasem, jak widzimy, zwolenników tego sportu jest mało. Wnoszę to z okoliczności, iż skradziono z piwnic magistratu sześćdziesiąt kilogramów skóry na buty, chwilowo tamże zdeponowanej. Mówią wprawdzie niektórzy, że zjadły ją zgłodniałe szczury, nie mogąc znaleźć w Krakowie innego dla się pożywienia, ale ja w to absolutnie nie wierzę. Wolałyby chyba zabrać się do innych smakołyków. które tamże są zmagazynowane, ale być może, że już dały sobie z nimi przedtem radę, tylko my na razie o tem nic nie wiemy.

Nareszcie nie brakło i takich, którzy przekonywali każdego, czy chciał słuchać, czy nie, że obecnie zaprowadzone będą karty na wodę i dni bezwodne, informacye ich przecież. jak się z miarodajnego źródła przekonałem, były wręcz fałszywe.

Kronikarz, o ile to dotyczy jego osoby, z powodu braku wody wielkiej szkody nie poniósł, używa jej bowiem tylko do mycia i to przy zachowaniu wszelkich ostrożności, nie pije jej zaś nigdy ze względu na ostrzeżenie fizykatu, że może być bardzo łatwo zanieczyszczoną różnemi chorobotwórczemi bakteryami.

Ale nieszczęście nigdy samo nie chodzi, zawsze potrafi sobie znaleźć towarzysza. I w tym wypadku było też tak samo, równocześnie z brakiem wody dokuczał nam także i brak chleba. Dlaczego, tego nikt mi nie mógł wytłumaczyć. W sprawozdaniach komisyi aprowizacyjnej czytamy ciągle, że w Krakowie mąki jest dość i że wydaje się ją w odpowiedniej ilości piekarzom, którzy, po dodaniu różnych ingredyencyi wypiekają z niej chleb, dobry nie tyle do jedzenia, mogący jednakowoż służyć do kitowania okien i uszczelniania ich na zimę, co także, ze względu na spodziewany brak węgli, nie jest pozbawionem swej wartości. Ongiś byli tacy, którzy twierdzili, że chleba nie jedzą ze względu na to, że zawiera zbyt wiele mąki, dziś tego nie mogliby powiedzieć. Co zawiera, to już tajemnica urzędowa piekarzy, w każdym razie mąki jak najmniej. W sobotę i niedzielę napróżno wystawiałeś rękę i kartę, by dostać bodaj bochenek, czy w tym tygodniu stosunki się poprawią, na razie przewidzieć nie można. Panowie piekarze kiwają w dalszym ciągu bardzo tajemniczo głowami, a jeden z nich powiedział mi w sekrecie:

— Panie łaskawy! Z przeproszeniem pańskiej osoby do bani z takim interesem. Człowiek nic nie zarabia, tylko dokłada z własnej kieszeni. Tego mi już zawiele. Zamknę budę i szlus!

— Bój się pan Boga! — ja mu na to — To my pomrzemy z głodu...

— A to sobie umrzyjcie, jeśli macie ochotę. Ja mam już dość i mogę sobie odpocząć. To moja emerytura.

Zupełnie w ten sam deseń odzywają się rzeźnicy i masarze. Jeden narzekał przedemną, iż takie teraz ciężkie nastały czasy, że ani myśleć, by człek sobie mógł pozwolić na „wizo" koronowe, nie mówiąc już o „majzlu". Do tego jeszcze magistrat, by im zrobić na złość, rozpoczął we własnym zarządzie wyrąb baraniny i zachęca do spożywania mięsa króliczego, słowem egzystencya staje się niemożliwa.

— Tak, panie łaskawy! — mówił jeden z ich grona — Przyjdzie człekowi marnie skrepirować. W trzy dni postu sprzedawać mięsa nie wolno, w pozostałe cztery dni nie mają ludziska za co kupować. I żyj tu w takich warunkach! Nic, tylko zamknąć budę i kwita...

Pomyślałem sobie, że bez mięsa przecież obejść się można, znam bowiem ludzi, którzy go przez całe życie nie używają, ale mimo to, tak sobie od niechcenia rzuciłem uwagę:

— A jak my przez to z głodu pomrzemy? Gdzie pańskie serce?...

— Do bani z sercem! — odparł poważnie i poklepał się, ale po prawej stronie piersi, gdzie nosi obficie wyładowany pugilares — Interes to grunt. Zresztą ja mam już dość i zdałby się odpoczynek na starość. Emerytury już się nie dosłużę!

Jedyne wyjście, skończyć wojnę. Panowie posłowie utrzymują wprawdzie (tak przynajmniej mówili na krakowskim zjeździe), że wszystko się poprawi, niech tylko zwołają parlament i delegacye, mnie się przecież zdaje, iż im więcej się rozchodzi o ich dyety, niż o nasze brzuchy, gdyż nie słyszałem, by który z nich bodaj puścił parę, że ze względu na ciężkie warunki, w jakich się państwo znajduje, zrzeka się swych poborów. Nie jest także wykluczonem, że po zwołaniu zaczną radzić nad czemś, co ze sytuacyą będzie miało taki związek, jak, dajmy na to... nie powiem, gdyż każdy się domyśli, przypominając sobie reaktywowanie naszej Rady.

O wojennych kuchniach magistrackich pisać na razie nie mogę, znajdują się bowiem dopiero w stadyum przygotowawczem. Kiedy zostaną uruchomione, tego powiedzieć nie można, należy czekać cierpliwie i oblizywać się tylko ze smakiem, komu to robi przyjemność. W każdym razie będą otwarte i to w najbliższej już przyszłości, stołujący się zaś w nich będą sobie używać, wyszło bowiem rozporządzenie, że właściciele polowań obowiązani są część myśliwskiego łupu oddawać na cele ogólnej aprowizacyi. Ponieważ zaś w Krakowie mamy dość nimrodów (nawet i między urzędnikami magistratu), nie ulega więc kwestyi, że zarekwirowana od nich zwierzyna dostanie się nie gdzieindziej, ale właśnie do owych kuchni wojennych, gdzie tylko dzięki wojnie biedny intelligent przekona się, jaki smak ma comber zajęczy lub sarnina w sosie śmietanowym, o czem w czasie pokojowym wiedział tylko z opowiadania i z zapewnień w książce kucharskiej, „że to bardzo smaczna potrawa".

Chyba, bo i to być może, dziczyzna owa przejdzie w niepowołane ręce, a potem w niepowołany żołądek...

Aby zadowolić także i tych, którzy żądają, bym prócz innych rzeczy poruszał także i politykę, muszę zaznaczyć, że właściwie w tej materyi nie mam nic do powiedzenia, wszystko bowiem jest, jak było. Zmiany prawie żadnej, prócz cofania się Rumunów z Siedmiogrodu, gdzie się ich bardzo niegrzecznie spytano słowami Majcherka: „Kajś ta wlazł?"

Grecya natomiast decyduje się ciągle, co ma zrobić, ale zdecydować się nie może. Na powstrzymanie jej wojennych zapędów wpłynęła zapewne okoliczność, że młodzież gimnazyalna w Krakowie uchwaliła bojkotować grecki język, gdyby potomkowie starożytnych Hellenów usłuchali namów Venizelosa i stanęli otwarcie po stronie koalicyi. W tym celu odbył się wiec ogólnogimnazyalny męski, żeński i nijaki, na którym jeden z uczniów klasy trzeciej przedstawił jasno sytuacyę polityczną i wezwał zgromadzonych do powzięcia odpowiednich uchwał. Przesłano je natychmiast ministrowi spraw zagranicznych, celem doręczenia rządowi greckiemu, który, przeczytawszy, znalazł się wprost w położeniu bez wyjścia, zwłaszcza, że z postanowieniami rodzaju tak zwanego męskiego obiecały się solidaryzować i delegatki gimnazyów żeńskich. Na znak oburzenia spalono podczas zgromadzenia jeden egzemplarz „Wypisów greckich" i „Iliadę" Homera. Wogóle między naszą młodzieżą daje się coraz wybitniej odczuwać ruch antigrecki. W ostatnim tygodniu sprzedano w antykwarniach przy ulicy Szpitalnej trzydzieści siedm gramatyk greckich. Profesorowie filologii klasycznej są w strachu o swą egzystencyę, doradzają też zachowanie ścisłej neutralności z utrzymaniem nauki języka greckiego w tym samym wymiarze godzin tygodniowo. Czy młodzież posłucha ich ojcowskich przedstawień, najbliższa przyszłość okaże, w każdym razie musimy przyznać, że swem męskiem wystąpieniem przyczyniła się niemało do utrzymania dotychczasowych stosunków na Bałkanie.

Niemniej interesuje każdego stanowisko, jakie w najbliższej przyszłości zajmą i inne państwa, tak zwane neutralne, a jest ich jeszcze kilka w Europie, gdyż stwierdzonem zostało, zwłaszcza na Rumunii, że im kto głośniej krzyczy, że neutralności dochowa, ten bliższym jest czynnego wmieszania się w ogólny wir światowy. A w tem stadyum znajduje się obecnie Szwecya i Dania nie mówiąc już o Szwajcaryi, której pono Włochy grożą wypowiedzeniem wojny.

Na neutralności swej państwa wszystkie wyszły najlepiej, pozbyły się bowiem pocichutku a za dobre pieniądze wszystkiego, co było do odstąpienia najwięcej dającemu.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył A. Tarnowski, Zakopane

Pierwsze, przestrzeń ziemi pod pługiem oracza,
Pierwsze-drugie broń w mowie łacińskiej oznacza,
Drugie zaś i trzecie choć z słomy związane,
Dywan i roletę zastąpi na zmianę;
Wszystko razem stalowe, mordercze narzędzie,
Zza wałów i fortec śmierć niosące wszędzie

Łamigłówka literacka.

Ułożył X. Nilik, Kraków.

Wynaleźć nazwiska autorów poszczególnych dzieł Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą pseudonim polskiej powieściopisarki.

Intruz?
Kiejstut?
Latorośle?
Rdza?
Pomór?
Rewolwer?
Cień?

Równanie.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć każdy tyle zgłosek, ile ich wykazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem i drugiem równaniu nazwisko Żyda — wiecznego tułacza według dwu odmiennych podań

$$\frac{a}{5}+\frac{b}{2}+\frac{c}{2}=x$$

$$\frac{m}{3}+\frac{n}{4}+\frac{o}{3}+\frac{p}{4}+\frac{r}{2}+\frac{s}{3}=y.$$

Znaczenie wyrazów: a) Wąż (dwa wyrazy) b) Inaczej odzew c) Pokost. m) Wyraz matematyczny. n) Gwiazda o) Podatek p) Gwiazda r) Miasto w Kanadzie. s) Imię męskie

Kwadrat magiczny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

b b c e
l l o o
o p p s
n u z z

Znaczenie wyrazów: 1 Inaczej zatyczka. 2. Wół afrykański. 3 Moneta starogrecka 4 Inaczej tętno.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Joj! Cześnik Szaweł Azot złoci wiśnie watą.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwisko słynnego włoskiego poety.

□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Dom zajezdny 2 Gatunek psa. 3. Zagadka. 4. Pieniądz złoty. 5 Ziele 6 Uczony, badający herby. 7 Kierunek filozoficzny 8 Uczony 9. Zakonnik. 10. Imię męskie 11. Głos. 12. Owoc południowy. 13. Herb polski. 14. Warzywo, używane jako przyprawa. 15 Część składowa musztardy.

Trójkąt magiczny.

Ułożył A. Tarnowski, Zakopane.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko znakomitego malarza polskiego.

□ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Imię męskie. 3. Bohater tragedyi Shakespeare'a 4. Miejscowość w Czechach. 5. Wyraz używany w kupiectwie 6. Ciało lotne. 7 Wykrzyknik. 8. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Dr. Noe bierze pierog z pszczołą.

Bilety wizytowe.

Ułożył A. Tarnowski, Zakopane.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

PIUS BRACKY.

MARYAN HR. CADTI

MARGR. Z SITEZ.

ANT NIEMSKI

MILAN G AZYATIS.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 40.

Arytmogryf:

L e n
I l i
l i s
G r u s z e c k i
p a r l a m e n t
ł o ś
k r a
A z a
R e n
o s a
I z a
s k i
k e s
k o w a l
H l a w a

Zadanie do przestawienia: Dał ci Bóg dary, używajże miary.

Logogryf:

M a d e r a
A t l a s
G r a z
E g i n a
L u b l i n
A n i z a
E l b a
N u b i a
S z a w l e

Równanie:

Sarna + Neapol + Kawecki = Saraecki.
Złoto + ciemię + nietoperz = Ilecienie.

Zadanie konikowe:

Ponad Dnieprem, między jary,
Zasiadł dumnie Kijew stary,
A gościńcem do Kijewa
Płyną maże z miodem, zbożem,
A po Dnieprze, niby morzem,
Z puszcz poleskich spławy drzewa.

W. Pol.
„Pieśń o ziemi naszej".

Zadanie do przestawienia: Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

Kwadrat magiczny:

D o b a
o b a r
b a c a
a r a k

Bilety wizytowe: Kantorzystka Inspektor szkolny. Farmaceutka Kapitan rezerwowy Kaznodzieja.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bieżanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadnlska Kraków, W. Krzywicki Praga, K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, K Gołąb Nowy Sącz. S Roth Tarnów, W. Stachowicz Lwów, A. Gliński Przemyśl.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Domagalska, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Celem przekazania potomności czynów bohaterskich, dokonanych w czasie wojny przez członków c. k. obrony krajowej, c. k. pospolitego ruszenia i c. k. żandarmeryi, zamierza Ministerstwo obrony krajowej wydać dzieło pamiątkowe pod tytułem „Ehrenhalle", które obejmie nazwiska, czyny, a w miarę możności i wizerunki tych wojowników i bohaterów, którzy otrzymali najwyższe odznaczenia, padli w spełnieniu swego obowiązku lub ulegli otrzymanym ranom, czy chorobom

Z dzieła tego, wychodzącego we Wiedniu, nakładem Towarzystwa dla przemysłu graficznego (Verlag der Gesellschaft für grafische Industrie in Wien), ukazały się dotychczas trzy zeszyty w cenie po 4 korony.

Kącik humorystyczny.

Zemsta.

Jeden z krakowskich malarzy sportretował swą teściową i to w kilkunastu pozycyach.

— Skąd ci podobna myśl przyszła do głowy? — zapytał go jeden z przyjaciół.

— Ha... Każdy mści się w ten sposób, w jaki potrafi! — odparł zagadnięty.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego